

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 18 marca 1905 r. Nr. 12.

Rozstrzelanie żołnierzy na stokach cytadeli!

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Monastyr czudowski: Widok zewnętrzny klasztoru położonego na Kremlu w Moskwie.

Rozstrzelanie żołnierzy na stokach cytadeli.

(Do illustracyi tytułowej).

Propaganda rewolucyjna, ogarniająca coraz szersze warstwy społeczeństwa w Rosyi i Królestwie — przedostała się naturalną koleją rzeczy i po za mury koszar wojskowych. I żołnierz rosyjski poczuł obywatelskie serce pod szynelem i przyszedł wreście do przekonania, że nie należy mu broni swej zwracać przeciwko własnym bezbronnym współbraciom. I zaczęły się znamienne objawy w armii: żołnierze łączyli się w tajne związki, do których należeli wyżsi nawet oficerowie — w innych wypadkach wojsko odmawiało wprost posłuszeństwa na komendę „ognia“ — gdy ogień ten skierowanym być miał w pierś ludu roboczego. Wreszcie kula armatnia przesłana do stóp carowi w uroczystość Jordanu — była niejako zadokumentowaniem ruchu rewolucyjnego, nurtującego w armii rosyjskiej. Że te objawy są bacznie obserwowane, że w razie choćby śladu rewolucyjnego spisku, czy związku — krwawe wyroki sądu wojennego są natychmiast wykonywane — zbytecznem chyba dodawać.

Krwawa taka egzekucya odbyła się przed kilku dniami na stokach cytadeli warszawskiej. Sprzysiężenie, do którego należeli żołnierze tak rosyjskiej jak i polskiej narodowości — zostało prawdopodobnie zdradzonem przez jednego z uczestników. Żołnierze-spiskowcy zostali natychmiast przyaresztowani. W 24 godzin, bez uprzedniego śledztwa, bez badania i przesłuchiwania — wyprowadzono delinkwentów w biały dzień na północny stok cytadeli.

Ustawiono ich rzędem, naprzeciw nich zaś umieszczono towarzyszów ich broni z nabitymi karabinami. Dowodzący oficer dał niemy znak szablą — zagrzmiała salwa i pod murem padło kilkunastu ludzi. Bezprawiu stało się zadość.

Rycina nasza przedstawia straszną chwilę egzekucyi.

Dla objaśnienia czytelnika dodamy kilka słów o warszawskiej cytadeli, której nazwa sama ścina krew w żyłach Polaka. Cytadela – nazwa wzięta z języka włoskiego — oznacza małą obronną twierdzę, przeznaczoną ku ochronie załogi miasta w razie buntu lub rewolucyi — jak również ku powściąganiu rozruchów. Cytadela warszawska spełnia właściwie podwójną rolę – oprócz twierdzy, przeznaczonej dla celów wojskowych, zawiera rozległe podziemne kazamaty z więziennymi celami. Jest to polityczne więzienie – a najsmutniejszą krwawą sławę zyskał t. zw. „pawilon X„.

Monastyr Czudowski.

Czem dla Polski Kraków — tem jest dla Rosyi Moskwa, zwana w ustach tamecznego ludu „świętą“. Sama Moskwa, jako miasto, nie różni się wiele od wschodnio-rosyjskich miast. Rozsiadła na pagórkowatym gruncie po obu brzegach rzeki Moskwy — zajmuje olbrzymią przestrzeń, a pstrokacizną swych cerkwi i błyszczącymi kopułami—robi wrażenie prawdziwie bizantyjskiego grodu. Moskwa to ostatnie pogranicze Wschodu i Zachodu i jako taki punkt pograniczny, stanowi tak pod względem ludności jak struktury, malowniczą mieszaninę stylów, ras i narodowości.

Jednym z najstarszych i najpiękniejszych zabytków Moskwy to Kreml, rodzaj obronnej warowni, mający dla miasta tego to samo prawie znaczenie historyczne, co dla Krakowa Wawel. I tu była dawna siedziba panujących, przeniesiona później przez Piotra Wielkiego do Petersburga. Tu po dziś dzień odbywa się uroczysta koronacya carów, i tu też są groby panującej dynastyi.

Kreml, o którym zresztą w poprzednim numerze pisaliśmy już — mieści w swych murach prócz rezydencyi carskiej także i kilka katedr i klasztorów.

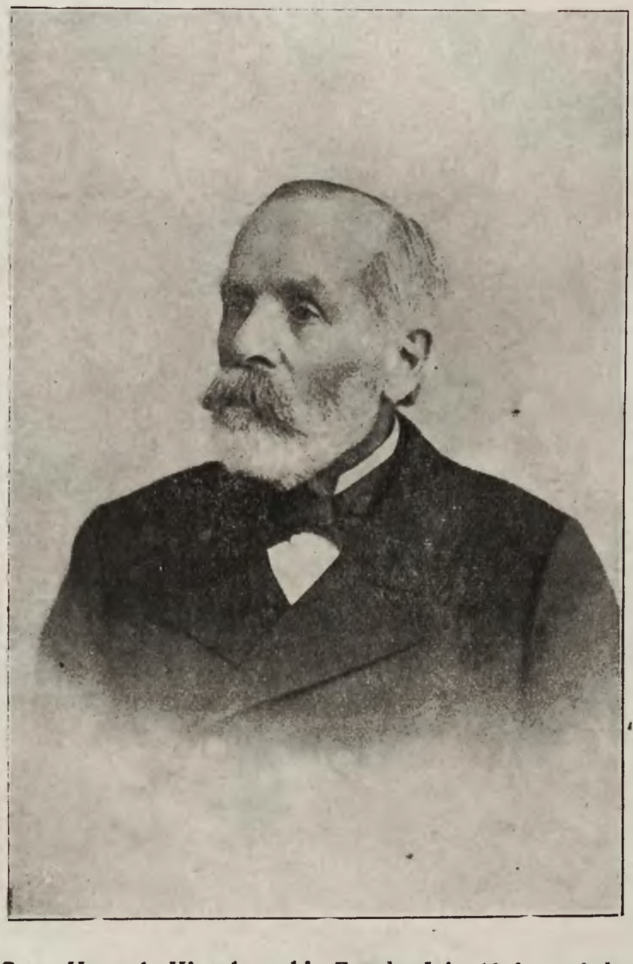
Z tych najpiękniejszą jest katedra Czudowska, będąca właśnie uprzywilejowanem miejscem ostatniego spoczynku rosyjskich carów i ich domu. Tu znalazły też w ostatnich dniach pomieszczenie zwłoki smutnej pamięci W. ks. Sergiusza, zabitego przez rewolucyonistów na ulicach Moskwy.

Monastyr czudowski robi posępne i grozą przejmujące wrażenie. Chłód i melancholia wieje z tych odwiecznych murów. Zwiedzający po raz pierwszy te miejsca — mimowoli doświadcza uczucia, jakby w tych groźnych krużgankach snuły się krwawe widma Iwanów i Piotrów. Potęgują to wrażenie jeszcze czarne, brodate postacie mnichów, obsługujących świątynię.

Wspomnienia klasztoru czudowskiego łączą się ściśle i konsekwentnie z historyą Rosyi. W r. 1373 zbudował go książe rosyjski **Michał Kalita**, który też Moskwę uczynił stolicą swego królestwa i zamieszkał w pałacu na Kremlu. Równocześnie osadził ks. Michał w opisanym właśnie klasztorze czudowskim prawosławnego metropolitę – najwyższego duchownego w wschodnim kościele. Dopiero Piotr Wielki, reformator Rosyi — przywłaszczył sobie najwyższą godność urzędowo-kościelną, metropolitę wygnał z murów klasztoru czudowskiego, a sam przeniósłszy rezydencyę swoją nad Newę— osadził w klasztorze czudowskim monachów. Ci przetrwali na swym posterunku aż do naszych czasów i im to poruczono z woli carów, pilnowanie grobów panujących i odprawianie nad zmarłymi modłów.

I teraz znowu powołano mnichów do ponurej służby. Poszarpane zwłoki zabitego satrapy moskiewskiego przeniesione zostały do klasztoru czudowskiego, odprawiono nad nimi egzekwie i powierzono kamiennym katakumbom.

Mnisi modlą się w czudowskim klasztorze za zgładzonym tyranem — a wielka, świeżo w krwi skąpana Rosya, przeklina pamięć swego ciemiężyciela.



S. p. Henryk Kieszkowski: Zmarły dnia 13 b. m. były dyrektor, ostatnio kurator Tow. wzaj. ubezp. w Krakowie.

Ś. p. Henryk Kieszkowski.

Jeden z najlepszych obywateli kraju, a zarazem jeden z najtęższych ekonomistów, jakiemu równego od dziesiątek lat nie miał Kraków w swych murach — ś. p. Henryk Kieszkowski zmarł w nocy z dnia 12 na 13 b. m. w mieście naszem.

Główną zasługą zmarłego było założenie, ukonstytuowanie i puszczenie w ruch olbrzymiego ekonomicznego przedsiębiorstwa, do jakiego wyrosło pierwsze krajowe Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń – popularnie u nas „Floryanką“ zwane. Historya tej pierwszorzędnej instytucyi finansowej jest dość ciekawa i osobliwa, nazwisko zaś świeżo zmarłego „kuratora“ „Floryanki“ tak ściśle złączone z jej rozwojem, że kreśląc pobieżną nawet sylwetkę ś. p. Kieszkowskiego — niepodobna nie wspomnieć o wiekopomnem dziele przezeń stworzonem.

Było to z początkiem r. 1860, gdy Galicya pozostawała w ekonomicznej zależności, niemal niewoli,

zagranicznych, przeważnie niemieckich i angielskich kapitałów. Przemysł i handel krajowy drzemał jeszcze, a raczej wcale go nie było, a kapitały miejscowe szukały lokaty w zagranicznych domach bankowych lub bezużytecznie spoczywały w domowych kasach i na prywatnych pożyczkach. Wtedy to grono obywateli tej miary, co Adam hr. Potocki, Henryk hr. Wodzicki, Franciszek Trzecieski, Franciszek Paszkowski — powzięło piękną a śmiałą myśl założenia krajowej instytucyi finansowej. W tym czasie w jednem z zagranicznych towarzystw, mających filię w Krakowie, pracował młody, uzdolniony i fachowo wykształcony — Henryk Kieszkowski.

Do niego też zwrócili się wyżej wymienieni, by zasięgnąć wytrawnego zdania finansisty, co do projektowanej instytucyi. Niebawem też ułożono statut, a dnia 20 października 1860 r. otrzymano rządową koncesyę na prowadzenie przedsiębiorstwa. Dyrektorem - referentem wybrany został Henryk Kieszkowski, obok niego I dyrektorem hr. Henryk Wodzicki, II zaś Władysław Biesiadecki; prezesem Towarzystwa hr. Adam Potocki.

Towarzystwo rozwinęło się nadspodziewanie, dzięki bowiem Kieszkowskiemu powołani zostali zdolni urzędnicy do prowadzenia biur i poszczególnych działów — dzięki zaś powadze ludzi, stojących na czele instytucyi — zyskała ona wśród najszerszych warstw społeczeństwa najzupełniejsze zaufanie. Ś. p. Kieszkowski, ustępując ze stanowiska dyrektora, otrzymał zaszczytny tytuł kuratora Towarzystwa.

Kieszkowski był czynnym na wielu polach pracy społecznej. Zasiadał długi czas w Radzie miasta Krakowa, był przewodniczącym Koła radzieckiego, oraz członkiem Wielkiego Wydziału Miejskiej Kasy oszczędności. — Złamany domowemi nieszczęściami, cofnął się zupełnie z publicznej areny i w prywatnem zaciszu dokonał zacnego swego żywota.

Zgon przyjaciela młodzieży.

Dnia 10 b. m. zmarł we Lwowie znany i szanowany powszechnie obywatel August Ehrlich. Zmarły był prawdziwym przyjacielem i dobroczyńcą młodzieży. Każdy biedny student, czy rękodzielnik — zawsze znalazł gotową i chętną pomoc ze strony Ehrlicha. Całe, niewielkie zresztą dochody poświęcał na opłacanie dydaktrów szkolnych i na kupno książek do nauki dla młodzieży.

Za wielu ubogich, a pilnych młodzieńców płacił mieszkanie i wikt — a i z bezpośrednią pieniężną pomocą nieraz biedakom pospieszał.

August Ehrlich urodził się we Lwowie. Od roku 1858 do roku 1887 służył w wojsku austryackiem i jako nadporucznik brał udział w okupacyi Bośni. Za waleczność odznaczony został przy tej sposobności medalem i złotym krzyżem. W r. 1888 wstąpił do cywilnej służby rządowej i na tem skromnem stanowisku śmierć go zaskoczyła.

Zgon Ehrlicha jest dotkliwym ciosem dla młodzieży, dla której był prawdziwym opiekunem i tkliwym ojcem.

Odkrycie tajnego składu broni w Moskwie.

Obecnie, po zakończeniu strejku generalnego w całej Rosyi, przekonano się, że największą i najkonieczniejszą potrzebą jest zaopatrzenie się w broń, by módz walczyć z rządem i przemocą, rozporządzającą wojskiem i siłą zbrojną, przed którą musiały się cofnąć nawet nzjrozpaczliwiej walczące tłumy.

Rewolucya w Rosyi, która za pomocą strejku powszechnego chciała zmusić rząd do ustępstw na rzecz ludu, postanowiła jąć się środka innego: walki zbrojnej! Takie hasło wydały wszystkie organizacye na terenie państwa rosyjskiego działające i obecnie wszyscy oczekują tej chwili strasznej, kiedy na przeciw najeżonej armatami i bagnetami turmy caratu, stanie lud zbrojny i przystąpi do niej, jak ongiś do Bastylli, by ją zburzyć, jako widomy znak ucisku i niewoli.

Agitacya dosięgła już obecnie i szeregów wojskowych, gdyż pozyskanie wojska uniemożliwiłoby rozlew krwi ludzkiej, której i tak już dość się wylało teraz, gdy dzikie i ciemne żołdactwo strzelało bez pardonu do tłumu na rozkaz swych oficerów.

To też najważniejszą rzeczą, ku której skierowane są wszystkie wysiłki rewolucyonistów w Rosyi, jest nagromadzenie odpowiedniej ilości broni, po wszystkich większych centrach przemysłowych, by w danej chwili módz zaopatrzyć lud w broń i wyprowadzić go do walki stanowczej i ostatecznej.

Jaki wynik to całe wrzenie rewolucyjne w Rosyi przybierze i jak zakończy się ten straszny dramat — przyszłość pokaże.

Na razie wiadomą jest rzeczą, że policya rosyjska zabrała już pewną ilość broni, która była przeznaczona dla rewolucyonistów. Wiemy, że w Warszawie znaleziono w mieszkaniu jakiegoś Tatara trzy skrzynie z rewolwerami i że na Kaukazie skonfiskowano cały wagon naboi, przeznaczony dla rewolucyonistów gruzińskich.

Niedawno, również w Moskwie odkryła policya tajny skład broni, który się mieścił w podziemnym sklepieniu jednego z domów. Znaleziono tam sporą ilość karabinów, paki z rewolwerami i bombami dynamitowemi. W czasie rewizyi aresztowano kilku młodych ludzi, którzy zajęci byli naprawianiem i montowaniem pewnych części karabinów i sporządzaniem naboi. Gdy żandarmi z oficerem na czele wkroczyli do wnętrza tajnego składu broni, znajdujący się tam rewolucyoniści postanowili się bronić. Z rewolwerami w ręku bronili się przeciw całemu oddziałowi żandarmów — ale w końcu ulegli przemocy i zostali ujęci. Jeden z nich zginął, ale także ze strony żandarmów padło kilku żołnierzy. Jest to pierwszy fakt, który wyraźnie wówi, że hasło do zbrojenia się, wydane przez rewolucyonistów, nie jest niestety czczym frazesem — i że zbliża się na prawdę groźna dla Rosyi urzędowej chwila: chwila zbrojnej rewolucyi.



Odkrycie tajnego składu broni w Moskwie: Żandarmi z oficerem na czele wkraczają do tajnego składu broni.



Kwiat Nędzy

POWIEŚĆ TOM II.

24 (Cią dalszy).

Zofia ucałowała rękę swojej dobrodziejki.

— Wszystko... podoba mi się bardzo... a z wrażeń moich wyspowiadam się szczerze księdzu Wielogrodzkiemu.

Czoło jej spochmurniało nagle. Spostrzegła Jerzego, zbliżającego się do powozu.

Od dwóch miesięcy, to jest od czasu jak synowiec księżnej powrócił z zagranicy i zamieszkał w pałacu przy ulicy Smolnej. Zosia nie umiała zdać sobie sprawy z odrazy, jaką nowo przybyły w niej wzbudzał, jakkolwiek młody człowiek był dla niej zawsze uprzedzająco grzeczny.

— Cieszę się — rzekł Jerzy — że ciocia przyjechała, nie zmieniając postanowienia w ostatniej chwili, jak się to czasem zdarza. Wyścigi dzisiejsze zapowiadają się świetnie, a gonitwa o nagrodę miasta Warszawy, będzie bardzo... bardzo interesująca.

— Och, pojmujesz, że przyjechałam tylko dla tego, żeby Zosię rozerwać, nieznanym jej dotąd widokiem.

— Księżna pani wie przecie — rzekła Zofia słodkim głosem — że gdy jestem przy niej, zawsze i wszędzie mi jest miło... tyle dobroci doznaję z jej strony.

— Ręczę jednak, że najmilej czas spędzisz na wsi, gdy pojedziemy do Zahajec, gdzie zabawimy całe lato. Brat mój towarzyszyć nam będzie, nie opuszczając nas ani na chwilę, w ciągu wakacyj...

Jerzy ulotnił się tymczasem.

Wobec zbliżającej się gonitwy głównej, pobiegł do Bogajewskiego.

— Słuchaj! — zawołał — a przyrzeczona informacya?

— Mam... i czekam, lecz hrabia musi zapłacić za nią z góry dwadzieścia pięć rubli i nadto zaprosić mnie na sutą kolacyę z szampanem.

— Oho! dwadzieścia pięć rubli i kolacya! Każesz sobie drogo płacić za przysługę.

— Informacya moja znacznie więcej warta od zapłaty, a w dzisiejszych czasach nic darmo!

— Więc płacę... Gadaj!

— *Gladiator.*

— Bój się Boga! taka marna szkapa... trzeciej klasy...

— Może być, ale pierwsza stanie u mety. Niech hrabia nie żałuje pieniędzy na stawkę, a zapewniam, że wygrasz grubo.

— Doprawdy, zdaje mi się, że drwisz ze mnie, ale mniejsza o to... Postawię na *Gladiatora.*

Popędził do totalizatora, przy którym — w pośród tłumu grających — stało także kilku jego przyjaciół.

— Namyślacie się który koń wygra?... Powiadam wam, że najgorszy; czego dowodem, że stawiam pięćset rubli na *Gladiatora.*

Księżna, której upał dokuczał, wysiadła przed chwilą z powozu i wraz z Zosią zajęła miejsce na jednej z trybun, sąsiadujących z totalizatorem, dosłyszała zatem słowa, wymówione przez Jerzego i uczuła się niemi niemile dotkniętą. Pragnęła, żeby się bawił, bo zabawę w jego wieku uważała za konieczną, lecz z przykrością zauważyła, że Jerzy zbyt lekkomyślnie szafuje znaczną kwotą dla dogodzenia próżności, bo nie przypuszczała nawet, aby mu chodziło o wygraną. Chciała jednak równocześnie usprawiedliwić go w oczach Zosi, rzekła więc:

— Mój pan synowiec ulega złym wpływom warszawskiego modnego świata, pewną jednak jestem, że zwykle nie grywa i grać więcej nie będzie. Zawsze dotąd z prawdziwem zamiłowaniem poświęcał się pracy naukowej. Nie wątpię, że powróci wkrótce do swoich ulubionych zajęć, a wtedy ocenisz go należycie. Pojmuję, że obecnie nie podoba ci się wcale. Spoglądasz na niego nieraz z widocznem niezadowoleniem... i masz poniekąd słuszność. Lecz wierz mi, ja go znam; wiem, że się odmieni... odmieni się niezawodnie.

Zosia nic nie odpowiedziała. Nie umie kłamać, ani uczuć swych ukrywać. Spokojna, wyprostowana, zatopiona w myślach własnych siedzi przy zacnej matronie, zastępującej jej matkę, a dla której serce sieroty bije wdzięcznością bez granic.

— Dziecko moje najmilsze — mówi księżna — możebyśmy przeszły do loży baronowej Rastawieckiej, która nas wczoraj o to prosiła. Stamtąd lepiej zobaczysz konie, ubiegające się o nagrodę miasta Warszawy.

— Jeśli księżna pani tego sobie życzy, to i owszem, lecz... zdaje mi się, że w cieniu, jaki tu na nas pada, będzie jej lepiej. Loże są na słońce wystawione. Co zaś do mnie, czuję się zawsze najswobodniejszą i najszczęśliwszą w ustronnym kąciku, gdy przy księżnej pani siedzę. Pod jej opieką nie mogę być wystawioną ani na wzrok ciekawych, ani zmuszoną do rozmowy o rzeczach, obchodzących tylko elegancki świat warszawski, mnie zaś nie interesujących wcale.

— O, moja droga, jak zawsze jesteś wzorem rozsądku. Masz zupełną racyę, pozostaniemy na naszych miejscach.

Konie biegać mające, ukazują się na torze. Tłum wita faworytów grzmiącymi oklaskami.

Tyle w nich ognia, że u startu trudno je ustawić w zupełnie równej linii. Nareszcie rozlega się dzwonek... i wszystkie puszczają się przed siebie wyciągniętym galopem. Lornety dam i sportsmenów zwracają się na pędzący szereg, falujący na szaro-żółtem tle areny jaskrawą różnobarwnością kurtek i czapek jeźdźców.

Jerzy nie traci z oczu *Gladiatora.* Dosiada go dzielny dżokiej, który od razu skorzystał z chwilowego zamieszania po starcie, i z czwartego wysunął się na pierwsze miejsce. W kilka sekund zyskał już znaczną odległość od reszty koni i tuż przy sznurze pysznie wyścig prowadził.

— *Gladiator* zwycięży! — zawołał uradowany młody człowiek. Już go obecnie faworyci prześcignąć nie mogą!

I w rzeczy samej, wkrótce potem, przelatuje *Gladiator* przed trybunami i pierwszy mija metę.

— Bogajesio ma jednak węch nielada! — szepcze do siebie Jerzy. Gdybym był postawił wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie, wygrałbym grubą sumę.

Promieniejący tryskającem mu z oczu zadowoleniem, zbliża się do ciotki i Zosi.

— Stawiałem na *Gladiatora*... i wygrałem! Bieg był szalenie interesujący. Musiała to chyba cioteczka zauważyć.

— Nie, bo nam tłum, gromadzący się przed trybunami widok zasłonił. Ale, przyznam ci się, że nie żałuję, bo nie jestem zagorzałą wielbicielką wyścigów konnych. My obie z Zosią wolimy ciszę i spokojny odpoczynek w cieniu, dla tego też najlepiej nam będzie w parku Zahajeckim...

— Cioteczka nie chce stanowczo uważać się za stworzoną do naszego, nowoczesnego, szerokiego i ruchliwego życia... panna Zofia zaś naśladuje cię we wszystkiem.

— Każdy ma swoje upodobania, a ja, mój drogi, jestem za stara, abym mogła zmienić moje.

— A jednak chciej spojrzeć w około... ile tu starszych pań z naszego, najściślejszego świata!... Ale, ale, kilka osób, z któremi rozmawiałem, dziwiło się mocno, dlaczego ciocia nie ukazała się w loży baronowej Rastawieckiej}... gdzie przecie uroda panny Zofii wywołałaby niezwykłe wrażenie.

Ostatnie wyrazy wycedził z pewnym rodzajem złośliwego nacisku.

— Och, co do mnie — odparła Zosia, której twarzyczka pokryła się nagle bladością — pragnę zawsze być na uboczu. Nie powinnam starać się o zwrócenie na siebie uwagi, zwłaszcza w gronie pięknych pań z wyższego świata, bywających w domu mojej dobrodziejki.

Księżna milczała czas jakiś, wzruszona do głębi odpowiedzią swojej wychowanki, lecz po chwili rzekła po cichu, dość jednak głośno, aby młody człowiek mógł ją usłyszeć:

— Czyż poniekąd nie jesteś moją córką? Czy o tobie i o Jerzym nie mówię zawsze i wobec wszystkich, jak o dwóch najdroższych mi istotach na ziemi? Wychowałam cię prawie... Masz mnie tylko jedną, bliską sobie na świecie, bo dotąd niewiadomo co się dzieje z twoją rodziną. Przekonaną chyba jesteś, że byłabym najszczęśliwszą, gdybym ją odnaleść mogła, lecz niestety wiesz, że odnaleść jej nie sposób. Obie razem modlimy się codziennie za twoich, w tejże samej kaplicy, do której ksiądz Jan przyniósł cię malutką i umierającą... Czy od pierwszego dnia, w którym cię ujrzałam, nie pokochałam mojej Zosi całą duszą? Czy przypuszczasz, że mogłabym cię opuścić kiedykolwiek?... Nie, nigdy! Uważałam cię zawsze i uważać nie przestanę za moje własne dziecko, a dzięki Bogu, jestem dość bogatą, aby wyposażyć cię tak, jak na to zasługujesz.

Dziewczyna pochyliła główkę, a błękitne jej oczy, pełne słodyczy, dziękowały opiekunce wymowniej, niżby to wypowiedzieć mogły najczulsze wyrazy. Potem niespodzianie — niemal instynktownie — zwróciła je na Jerzego.

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy młodzieńca, jakkolwiek słowa księżnej i spojrzenie sieroty rozdrażniły go do głębi.

— Czy panie pozostaną do końca wyścigów? — spytał sucho.

— O, nie! Oddasz nam obu prawdziwą przysługę, jeśli nas odprowadzisz do mego powozu.

— Ależ najchętniej!

— Czy będziesz grać dalej?

— Bezwątpienia.

— O, mój Jerzy! niepokój mnie ogarnia, gdy myślę, że zbyt nieoględnie rzucasz się w wir warszawskiego bezdusznego życia...

— Przecież wygrałem dzisiaj wcale pokaźną sumkę!

— Nie zawsze się wygrywa, mój drogi. Możesz

przegrać, a przegrana sprowadza bardzo często smutne skutki...

— Jeśli przegram cioteczko, nie wątpię, że stryj Jan nie odmówi mi pożyczki — odparł młody człowiek uśmiechając się złośliwie.

Księżna zamilkła, chociaż odpowiedź synowca oburzyła ją i dotknęła boleśnie.

Oparła się na ramieniu Zosi i zwróciła kroki w stronę, gdzie stały powozy. Jerzy torował im drogę w pośród tłumu. Zadanie było nietrudne, wszyscy bowiem rozstępowali się z najgłębszym szacunkiem przed kobietą poważną, pełną godności, idącą powoli obok ślicznej i dystyngowanej panienki. Nawet harde i zwykle hałaśliwe przedstawicielki warszawskiego pół-światka, usuwały się im z drogi.

— Ta stara, to jego ciotka, po której ma zagarnąć olbrzymią sukcesyę — szepnęła jedna z nich do ucha drugiej — a ta dziewczyna w białej sukience, to jej panna do towarzystwa. On ładny chłopiec... a przytem będzie kolosalnie bogaty. Odziedziczy dwa majątki: jeden po księżnej, a drugi po księdzu...

— Wiem, wiem! po tym, co u Karmelitów miewa sławne kazania!

— Ba, to ty bywasz na kazaniach? — zapytała, wybuchając głośnym śmiechem, mała, chuda, rudowłosa wietrznica.

— Łatwo odgadnąć, jaki los czeka pannę do towarzystwa — ciągnęła dalej wysoka brunetka, która pierwsza głos zabrała — ładny panicz zbałamuci ubogą dziewczynę i wkrótce zobaczymy ją w naszem towarzystwie.

— E, nie!... Gotów ją wywieść het daleko, za morza, bo podobno przepada za podróżami. Niedawno powrócił z Ameryki...

Urwały nagle, spostrzegły bowiem, że Jerzy, który odprowadził księżnę z Zosią do powozu, idzie teraz ku nim zamyślony głęboko. Mijając je, zmierzył wszystkie chłodnym, pogardliwym, lekceważącym wzrokiem.

Dumny był, jak wszyscy Wielogrodzcy, lecz nie posiadał wrodzonej im dobroci i uprzejmości, którą jednali sobie serca ludzkie. Z góry traktował śmiertelników, których nie uważał za równych sobie urodzeniem, majątkiem i stanowiskiem. Nawet Bogajewskiego (co prawda, nie bez słuszności) miał za nic — chociaż go lubił, dopuszczał do pewnej poufałości i twierdził (opierając się podobno na Paprockim i Niesieckim), że jest nietylko „dobrze urodzonym“, lecz jednym z „najlepiej urodzonych“ w całym kraju.

Jerzego, po powrocie z zagranicy, przyjął i powitał arystokratyczny świat warszawski bardzo życzliwie, z pewnem nawet szczególnem wyróżnieniem. Jakże go nie miano wyróżniać? był przecie już bogaty, a lada dzień odziedziczy miliony! Zapomniano... a raczej udawano zapomnienie o skandalicznej przeszłości jego matki i samobójstwie ojca. Jerzy zaś istotnie nie wiedział o niczem, ciotka bowiem i stryj ukrywali przed nim tragiczną historyę jego rodziców, nie chcąc obudzać w młodocianem sercu przedwczesnej rozterki, mogącej — według ich przekonania — zwichnąć nawet prawy charakter i popchnąć chłopca na najgorsze tory.

Idącego z poza szranek wyścigowych, otoczyło teraz grono złotej i pozłacanej młodzieży.

— Odprowadziliśmy ciepłą ciotunię do powozu — rzekł do Jerzego Żaboklicki, uchodzący za doskonałego znawcę koni — a teraz przychodzimy grać dalej. Nieprawdaż?

— Nie wiem jeszcze, czy grać będę — odparł Jerzy. Moje panie za nic w świecie nie chciały pozostać do końca wyścigów. Dla cioci nie przedstawiają one najmniejszego interesu, a przytem nie lubi licznych zgromadzeń i tłumów. Strasznie zadomowiona; nawet bardzo rzadko i bardzo niewiele osób przyjmuje teraz u siebie.

— Od pewnego czasu dopiero — rzekł młodziutki hrabia Orski ironicznie. Dawniej księżna przyjmowała wizyty i oddawała je sama chętnie. Salony na Smolnej stały otworem dla całej Warszawy, lecz od chwili, gdy w jej niemal obecności, rozegrał się w nich straszny dramat, przywdziała żałobę, a drzwi jej pałacu otwierają się tylko dla szczupłego grona krewnych i wybranych. Widzi pan — mówił, zwracając się do Jerzego — nasze najarystokratyczniejsze rodziny ukrywać muszą nieraz straszne tajemnice degeneracyi i upadku rasy, których w oczach pospolitych i złośliwych śmiertelników nie może zatrzeć ani historyczne nazwisko, ani tytuł... ani nawet olbrzymi majątek!

Oczy Jerzego zamigotały, jak błyskawice.

W chwili, gdy zgromadzeni tu młodzi ludzie, odsunęli się nieco na bok, dyskutując zawzięcie o rodowodzie jednego z biegających dziś koni, zbliżył się do Orskiego i zapytał po cichu:

— Co mają oznaczać słowa, które pan parę minut temu wypowiedział?

— Och, przecie to bardzo dawne dzieje! Przed kilku laty opowiadała mi je moja matka, przyjaciółka księżnej...

— Powiedz pan raczej, nieprzyjaciółka!

— Kto wie?... Być może!

Jerzy nie śmiał wypytywać dalej, lecz szepnął, starając się głosowi swemu nadać ton zupełnego spokoju:

— Innym razem... gdy będziemy sami... pomówimy o tem, co panu pańska matka powiedziała.

— Nie mam nic do dodania do poprzednich moich wyrazów — odparł hrabia Orski, który spostrzegł, że posunął się za daleko i czyn brzydki popełnił. Byłem pewny, że o czem wie świat cały i pan wiedzieć musi!

Płomiennym wzrokiem zmierzył Jerzy nieletniego przeciwnika.

— Nie ulega wątpliwości, że prędzej, czy później spotka mnie pan na swojej drodze. Radzę, bądź ostrożny, bo słyszałeś pewno w swojem kó-



Innym razem... gdy będziemy sami...

łeczku familijnem, że Wielogrodzcy mają dobrą pamięć i mścić się umieją...

— Zależy od sposobu zemsty, jaki pan wybierze, bo jeśli chodzić będzie o pojedynek, to przyznam się panu, że nie uprawiam tego sportu. I po chwili dodał żałośnie, tonem płaczliwym, z dziecięcym niemal rozrzewnieniem. Dla czego postąpiłeś ze mną niegodnie? Kochałem do szaleństwa jedną z tych, pomiędzy któremi przeszedłeś teraz, potrącając je niemal łokciami... kochałem szczerze, całem sercem... a pan, ot tylko dla kaprysu, dla fantazyi, odbiłeś mi ją... boś bogaty, bo mogłeś sypnąć pieniędzmi... lecz po paru dniach porzuciłeś biedną dziewczynę... bez litości... bez sumienia...

— Aaaa! czy tak?... Mówisz pan o rudej Klingerce z corps de baletu?

— Ubóstwiałem ją... może nawet ożeniłbym się z nią, po otrzymaniu pozwolenia rodziców...

— Ja zaś nie kochałem jej nigdy. Nie mam zwyczaju kochać stworzeń, które kupić można! Lecz, teraz, ponieważ wiem, że chciałeś się zemścić... Przyznaj pan jednak, że w sposób zupełnie marny i nieodpowiedni, a uwłaczający honorowi rodziny, dla której masz i mieć musisz najgłębszy szacunek... Przebaczam panu. Zawsze jednak radzę, nie właź mi pan w drogę!

To rzekłszy odwrócił się od skonfundowanego młodzieniaszka.

Nie czekając na zakończenie wyścigów, bo bądź co bądź czuł się bardziej wzburzony, niż to okazać pragnął, zmierzał szybko ku furtce, za którą stał jego kabryolet.

Dostrzegł go z poza swego okienka Bogajewski.

— Hola! hola! — zawołał — ulatniasz się hrabia po angielsku! To nie wypada. Zaczekaj pół godziny; przecie to bieg ostatni... Zaraz po rozpoczęciu gonitwy mogę się oddalić. Zabierzesz mnie pan z sobą...

— Niczego ci dzisiaj odmówić nie mogę, bo informacya twoja była wyborna. Należy ci się nawet odemnie jeszcze komisowe. Masz! — i wsunął mu w rękę papierek.

— Pięćdziesiątka! brawo! — rzekł Bogajewski, chowając banknot do kieszeni. Dobry dzień! szykowny dzień! Daj Boże więcej takich!... Ach, żebyś pan wiedział, jaka zielona wściekłość ogarnia porządnego człowieka, gdy od południa do wieczora musi ręce babrać w cudzych pieniądzach!

— No, no! nie uskarżaj się ladaco. Bądź co bądź masz intratną posadę.

— Niech ją pioruny siarczyste!... — machnął ręką, dodając ironicznym tonem — dziękuję panu hrabiemu za nią! Gdyby nie magnacka łaska jaśnie pana, nie codzień miałbym na bułeczkę do kawy!

W kwadrans potem pędzili razem do miasta.

Kabryolet zatrzymał się przed jedną z najwytworniejszych restauracyj. Jerzy odprawił stangreta z końmi na Smolną, sam zaś wprowadził Bogajewskiego bocznem wejściem do gabinetu na parterze.

Kelnerzy, znający gości, szybko nakryli do stołu i po przekąskach podali sutą wieczerzę.

Jerzy — jak to już powiedzieliśmy — lubił Bogajewskiego, który umiał mu schlebiać, a nadto bawił go swoim szczerym cynizmem. Pasorzyt, posiadający talent jednania sobie możnych — talent właściwy dawnym rezydentom na pańskich dworach — pod pozorami hardej szlacheckiej rubaszności i swobodnego słowa, ukrywał niezwykły spryt wytrawnego dworaka, którym panował nad niedoświadczonym młodzieńcem, okazującym mu pewien rodzaj wdzięczności: za wtajemniczanie w praktyki wyścigowe, za wprowadzanie za kulisy teatrzyków, oraz poznawanie z żeńskim personalem baletu Teatru Wielkiego i tym podobne usługi. Od powrotu z Ameryki, Jerzy nic nie rozpoczynał, nie poradziwszy się wprzódy „Bogajesia“, który, niby przedewszystkiem oddany interesom panicza, radził jednak to tylko, co jemu samemu korzyść przynieść mogło.

Dziś młody człowiek, zirytowany rozmową z Orskim, niczego widocznie od towarzysza nie chciał się dowiedzieć, bo jadł mało i milczał uparcie.

— Czemu hrabia nie je? — zapytał totumfacki. Wszystko, co nam podają, jest stanowczo doskonale spitraszone. Można śmiało palce sobie oblizywać!

— Nie mam apetytu.

— Horrendum! Chłop, tak, jak pan pysznie zbudowany, który pół dnia spędził na świeżem powietrzu i nalatał się nieledwie jak koń wyścigowy, powinien mieć apetyt! Chyba... chyba, że się hrabia zakochał.

— Zakochał! W kimże u licha mogłem się zakochać?

— No, nie w żadnej baletnicy, chociaż była ich tam cała paczka... jeśli nawet Klingerka, świeża, jak pączek róży, nie umiała pana dłużej nad tydzień przy sobie utrzymać!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Obstrukcya kolejarzy we Włoszech: Pasażerowie czekają przed wagonami pociągu, nie mogącego wyruszyć ze stacyi z powodu obstrukcyi.

Obstrukcya kolejarzy we Włoszech.

Początek marca tego roku rozpoczął się we Włoszech pod groźbą strejku generalnego wszystkich kolejarzy.

Do strejku jednak szczęśliwie nie doszło wskutek tego, że powszechne głosowanie przeprowadzone wśród kolejarzy włoskich odrzuciło znaczną większością głos w myśl rozpoczęcia strejku generalnego – a uchwaliło rozpocząć obstrukcyę kolejową. Polegała ona na skrupulatnem i drobiazgowem przestrzeganiu wszystkich praw i przepisów, jakie rząd wydał na kolejach. Wiadomą jest rzeczą, że koleje we Włoszech, aczkolwiek są własnością rządu, są administrowane przez prywatnych przedsiębiorców, którym rząd kolej wydzierżawił. To też kolej państwowa w prywatnej administracyi jest źródłem wyzysku, jaki uprawiano nietylko na kolejarzach, ale i na samej publiczności. W zwykłych warunkach nie było prawie żadnej a żadnej kontroli ze strony państwa, czy prywatni przedsiębiorcy spełniają obowiązki swoje i czy wykonują przepisy, wydane przez rząd, a dotyczące ruchu i bezpieczeństwa publicznego. Teraz, gdy kolejarze uchwalili obstrukcyę kolejową — w pierwszym rzędzie zwrócili się przeciw prywatnym przedsiębiorcom i sami pilnowali, by wszystkich przepisów przestrzegano. I tak opukiwano dokładnie koła pociągów, lokomotyw i badano wszystkie inne urządzenia kolejowe — a gdy przekonano się, że cośkolwiek jest w nieporządku, żądano wycofania wagonu i usunięcia braków, w przeciwnym razie grozili, że pociąg nie ruszy. A na nieszczęście dla rządu, wskutek zupełnie niekontrolowanej gospodarki prywatnych przedsiębiorców, braków była taka masa, starych wagonów z niezdatnemi do hamowania bremzami i popsutemi spoidłami była taka wielka ilość, że ruchowi kolejowemu groził zupełny zastój! I tak też było! Ruch pociągów ograniczono w ogromnym stopniu, gdyż przepisy nie pozwalały na jeżdżenie i używanie do ruchu takich wagonów. I mimo, że nie był to strejk generalny – bezrobocie wskutek zastoju w ruchu kolejowym było całkowite i ogólne. Na naszych rycinach widzimy, jak robotnicy kolejowi chodzą koło lokomotywy, opukując i oglądając wszystkie jej urządzenia jaknajdokładniej, zanim zostanie zaprzężoną do pociągu. Tak samo na drugiej rycinie widzimy pasażerów stojących przed pociągiem i nie mogących wsiąść do wagonów wcześniej, aż konduktorzy i kontrolorzy oglądną wszystkie urządzenia wagonów, zbadają, czy przypadkowo które z kół wagonów nie grozi pęknięciem w drodze i t. d. Każdy rozumie, że przy takiem drobiazgowem przestrzeganiu przepisów, ruch kolejowy musiał zupełnie ustać, gdyż przy każdym prawie wagonie można było uznać coś za nieodpowiednie i wadliwe.

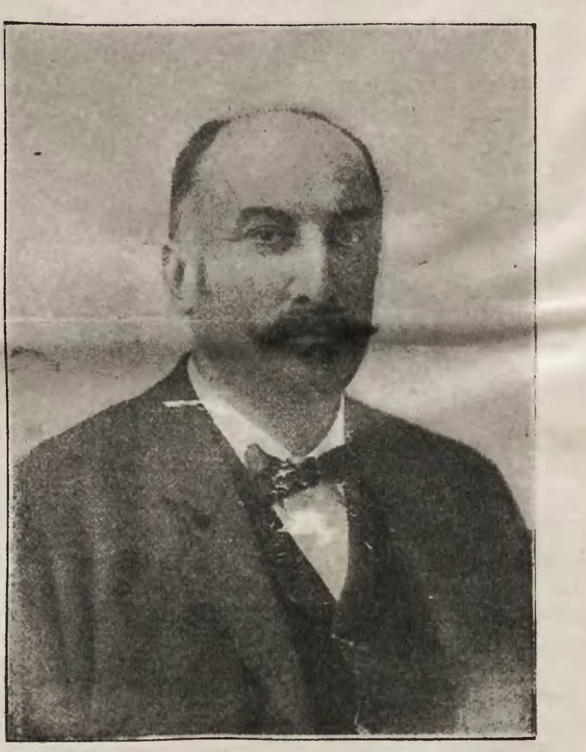
Obstrukcya kolejowa podziałała skutecznie na rząd, który się cofnął. Gabinet Giolittiego podał się do dymisyi i ustąpił, gdyż król był zmuszonym obstrukcyą kolejarzy przyjąć dymisyę gabinetu. Giolitti ustąpił – a dyrektywą dla nowego gabinetu będzie cofnąć przedłożenie, zakazujące wolności strejku kolejarzom, co też na pewno – jak już dziś przypuszczają włoskie pisma – nastąpi.



Obstrukcya kolejarzy we Włoszech: Robotnicy kolejowi przed lokomotywą, badają jej stan i zatrzymują w ten sposób pociąg, który ma odjechać.

Z dziedziny kryminalistyki.

Nawet i w tej dziedzinie nastąpił w ostatnich czasach postęp i udoskonalenie. Stwierdzenie tożsamości schwytanego zbrodniarza, zbyt wielkie ma znaczenie, ażeby pracujący na tym polu nie dokładali wszystkich starań, by mieć możność każdej chwili poznać już znanego poprzednio przestępcę, by zapamiętać jego rysy i właściwości fizyczne. Jedynym sposobem dążącym do tego celu, do ostatniego prawie czasu było fotografowanie. Jednak nie dawało ono pożądanych rezultatów — stosy odbitek fotograficznych zapodziewały się i gubiły, rysy człowieka z czasem zmieniały się. Trzeba było więcej pewnych sposobów. Umysł ludzki poszukał i wynalazł dwa sposoby: daktyloskopię (w tłómaczeniu polskiem: przyglądanie się palcom) i antropometryę (mierzenie człowieka). Pierwsza polega na tem, iż schwytanego zbrodniarza zmuszają do dania odbitki ze swojej dłoni. W tym celu przykładają rękę jego do przygotowanej płyty metalowej, pokrytej warstwą twardniejącej masy klejowej



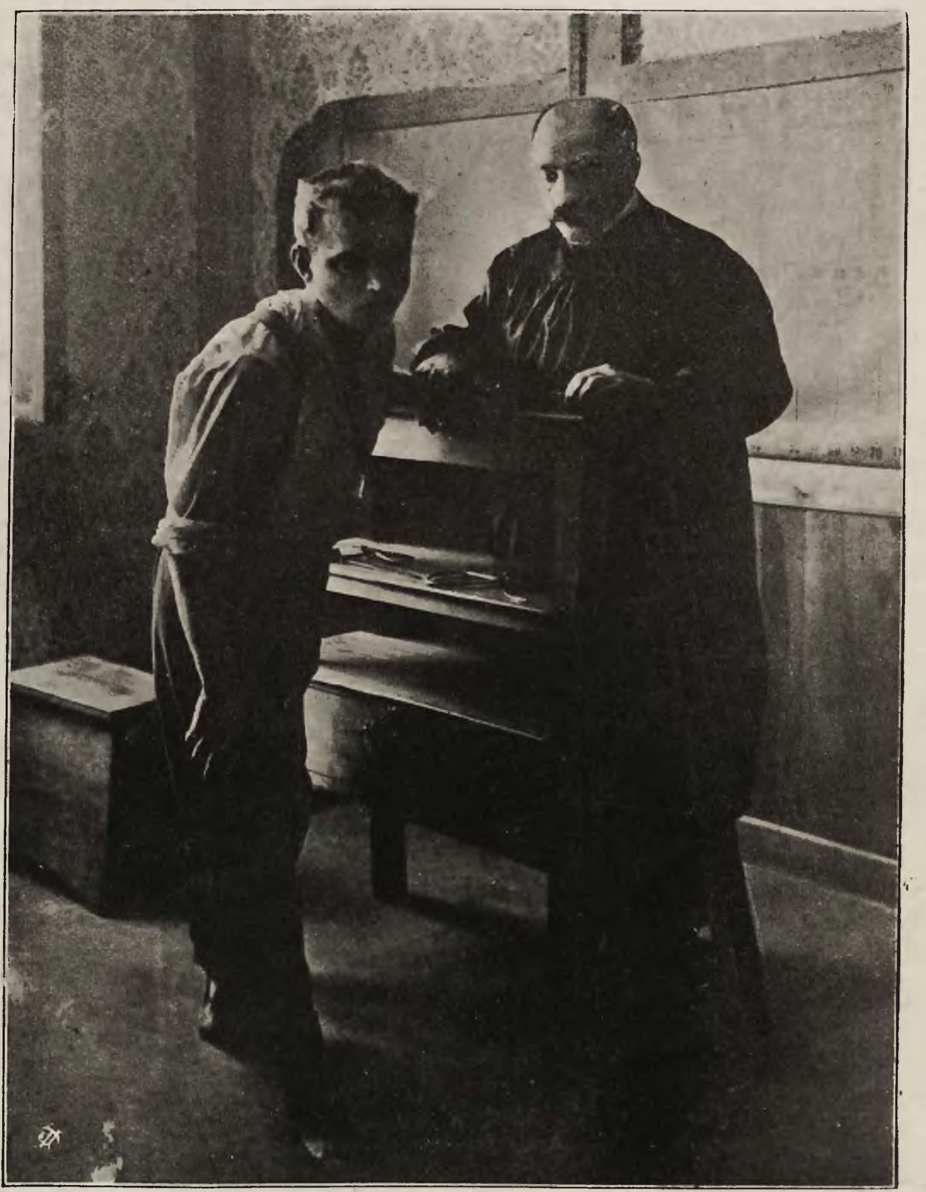
Obstrukcya kolejarzy we Włoszech: Giovanni Giolitti ustępujący prezydent ministrów.

na masie odbija się każda linijka z ręki przestępcy a otrzymana takim sposobem odbitka może być przesłana następnie z listem gończym w razie potrzeby. Rysunek ręki, jak dowiedziono, jest różny u każdego człowieka i przytem nie zmienia się. Daktyloskopia więc, jest to doskonały sposób stwierdzenia tożsamości osoby.

Drugi sposób — antropometrya, jest też wynalazkiem niedawnym. Polega on na mierzeniu całego ciała przestępcy. Wprowadził go w użycie Alfons Bertillon, szef urzędu rozpoznawczego policyi paryskiej. System ten przyjęto z uznaniem i wkrótce wprowadzono w użycie w całym świecie, a ostatecznie i w Wiedniu. Stąd przedostał się do Lwowa i Krakowa; przeniósł ją na nasz grunt p. Kurka, urzędnik policyi lwowskiej, który w celu poznania systemu był przed kilku laty w Wiedniu. Przy używaniu tego systemu potrzebne są całe dziesiątki przyrządów, a używanie ich wymaga wielkiej staranności i systematyczności. Jak niema na świecie dwóch listków jednakich, tak niema takich i dwóch ludzi. Na tym prawie opierają się oba systemy. Na załączonych rycinach widzimy, jakie operacye musi przechodzić człowiek, badany zapomocą tych sposobów. Postawiony koło miary daje nam swoją wysokość, posadzony na specyalnym krzesełku daje nam szerokość pleców, gdy rozłoży ramiona na specyalnej miarze otrzymamy długość rąk jego; za pomocą cyrkli zmie-



Z dziedziny kryminalistyki: Zdjęcia z palców przestępcy systemem daktyloskopijnym.



Z dziedziny kryminalistyki: Zdjęcia z dłoni przestępcy systemem daktyloskopijnym.

rzymy wysokość, szerokość i objętość głowy. Gdy badania są prowadzone bardzo drobiazgowo i ściśle, rezultaty ich nie przedstawiają już nic do życzenia.

Walka robotników z kozakami przed fabryką Poznańskiego w Łodzi.

Łódź, ten polski *Manchester*, była widownią najgwałtowniejszych walk robotników z wojskiem carskiem, broniącem fabrykantów i mordującem bez pardonu w biały dzień każdego, kogo mu się tylko spodobało. Ale też i postawa strejkujących była taka, że nikt nie mógł myśleć, by ci ludzie zechcieli ustąpić i cofnąć się choćby przed przed przemocą wojska.

Gdy zakończył się strejk powszechny jako demonstracya polityczna, rozpoczęli robotnicy w poszczególnych fabrykach walkę o ekonomiczne ustępstwa: o podwyższenie płacy i zarobku i o zniżenie czasu pracy. Walka ta była nie mniej ciężką i w niektórych fabrykach z powodu oporu fabrykantów dotychczas się jeszcze nie skończyła.

Ostrą nadzwyczaj była i jest walka w fabryce Poznańskiego w Łodzi, ze względu na stosunek samego właściciela fabryki do robotników. Jest to znany w łódzkim świecie przemysłowym milioner-dorobkiewicz, przez robotników najwięcej ze ze wszystkich znienawidzony! Szczególnie w ostatnich czasach nienawiść do niego zaczęła sięgać szczytu, gdy Poznański ściągał z zarobku tygodniowego robotnikom datki na cele wojny. Poznański chciał sobie w ten sposób zaskarbić łaski rządu — ale mógł sobie to robić łożąc z własnej kieszeni na wojnę, a nie zdzierając z robotników grosz ciężko zapracowany. I nie zawiódł się na rządzie, gdyż przez cały czas strejku strzegło jego fabryki wojsko, a i teraz jeszcze w jego pałacu rezyduje rota żołnierzy, hojnie pojonych i nagradzanych przez bogatego fabrykanta, którego majątek wynosi przeszło 20 milionów rubli.

Prowokacyjna postawa Poznańskiego, który z góry zapowiedział, że robotnikom żadnych ustępstw nie porobi, drażniła nie mało strejkujących, szukających sposobu zemsty na butnym fabrykancie.

I choć sam wyjechał „na wszelki wypadek" za granicę, w robotnikach powstała myśl wywarcia zemsty przynajmniej na jego dobytku. To też nie



Przebicie tunelu Symplońskiego: Inżynierzy M. Herrmann Hanssler i M. Hugo v. Kager przy oglądaniu wykończonej świeżo trasy w tunelu.



Walka robotników z kozakami przed fabryką Poznańskiego w Łodzi: Kozacy wpędzają tłum robotników do stawu,

darmo wybuchła bomba, podłożona pod pałac — ta jednak nie wyrządziła znaczniejszej szkody.

Przed fabryką zgromadziły się tłumy robotników i robotnic, a na zgromadzonych napadli kozacy, bijąc i rozpędzając na wszystkie strony. Tłum bezbronnych ludzi począł uciekać — a rozbestwione kozactwo siekło i biło uciekających. W walce tej zginęło czterech robotników, a 24 kobiet wpadło do stawu, uciekając przed nacierającymi kozakami i utonęło! Panika była okropna tembardziej, że w pobliżu kantoru fabrycznego eksplodowała bomba, która przerażeniem ogarnęła cały zarząd fabryczny i obozujące w pałacu żołdactwo.

Rycina nasza przedstawia chwilę kiedy kozacy uderzają na bezbronny tłum. Ludzie nie mogą się w jednej chwili rozproszyć — a rozbestwione żołdactwo bije i gna przed sobą uciekających. Kilkanaście osób wpadło do stawu. Widać na rycinie jak ci ludzie walczą z zakrywającemi ich falami ale nikt nie spieszy im z pomocą, gdyż wszyscy cofają się przed atakującem ich żołdactwem. W nurtach stawu zostały tylko trupy potopionych kobiet, a na bruku ranni i zabici.



Wybitni politycy węgierscy na audyencyi u cesarza: Hr. Dezydery Banffy, przywódca partyi ludowej i b. prezydent ministrów.

Wybitni politycy węgierscy na audyencyi u cesarza.

Przesilenie na Węgrzech trwa dalej. Coraz nowi posłowie bywają powoływani do cesarza, który nie może zdecydować się jeszcze ostatecznie, co do rozwiązania przesilenia węgierskiego. Dnia 12 lutego był najwybitniejszy z polityków węgierskich Kosuth na posłuchaniu w Wiedniu — a za nim jeździli i jeżdżą do dziś dnia wszyscy przywódcy stronnictw i wybitni mężowie stanu.

Dnia 16 lutego razem z Wekerlem przybył do Wiednia, do burgu cesarskiego także Koloman Szell, wybitny polityk i znawca stosunków polityczno-prawnych, który, dzięki swej długoletniej pracy i zdolnościom, piastował już najwyższe stanowisko w państwie. Szell, urodził się w r. 1843 w Gosztony, w komitacie eisenburskim. Po ukończeniu studyów wstąpił do służby państwowej. a w r. 1868 został wybranym do sejmu, gdzie wkrótce zajął wybitne stanowisko. W r. 1875 otrzymał tekę ministra finansów, którą to godność piastował aż do r. 1879. Jest on nietylko świetnym znawcą spraw finansowych państwa — ale także jednym z deputowanych, którzy najlepiej z całością polityki państwowej są obeznani. To też znalazł się między pierwszymi, których zdania



Wybitni politycy węgierscy na audyencyi u cesarza: Koloman Szell, były prezydent ministrów.

rady chciano wysłuchać na dworze wiedeńskim. Między jednymi z wybitnych członków opozycyi znajduje się także hr. Dezydery Bànffy de Losoncz, przywódca partyi ludowej, który przed niedawnym czasem razem z innymi przywódcami został powołanym do cesarza na audyencyę. Hr. Bànfy rozpoczął swą karyerę polityczną już dość dawno. Urodzony w r. 1843 w Klausenburgu, studyował za granicą w Berlinie i Lipsku prawo, a wstąpiwszy do służby państwowej, wkrótce dobił się wysokiego stanowiska nadżupana siedmiogrodzkich komitatów, przez co wszedł także jako członek do izby panów, która go przy swej organizacyi obrała dożywotnim członkiem. W r. 1892 został wybranym posłem do sejmu i był nawet jego prezydentem.



Zgon przyjaciela młodzieży: Zmarły niedawno we Lwowie filantrop August Ehrlich. (Treść na str. 3).

Po ustąpieniu w styczniu 1895 gabinetu Wekerlego, wziął na siebie misyę utworzenia nowego gabinetu i piastował najwyższą godność w państwie: prezydenta ministrów.

Mimo, że nowo ukonstytuowany sejm węgierski przystąpił już do pracy, wybrał komisye sejmowe i t. d., na horyzoncie politycznym Węgier nie widać żadnego znaku, któryby wskazywał, że przesilenie węgierskie ustąpi w krótkim czasie. Cesarz nie chce się zgodzić na ustępstwa na polu wojskowem. – Choć chwilowo opozycya nie będzie robiła trudności, by życie państwowe szło dalej normalnym biegiem, to jednak prędzej czy później z żądaniem unarodowienia armii wystąpi i wtedy będzie trzeba na nowo stanąć przed kwestyą tą samą, której obecne całkowicie by nie załatwiono.

Dlatego to obecne przesilenie węgierskie jest jednem z najcięższych, jakie korona ma do rozwiązania.

KARNAWAŁ NA AUSTRYACKIEJ RIWIERZE.

Nadzwyczajny wzrost Abazyi i miejscowości klimatycznych, koło niej i w bliskiem sąsiedztwie uroczo położonej Rjeki (Fiume) się znajdujących, datuje się od lat kilku. Riviera austryacka stała się równie modną, jak i francuska i dzisiaj tak samo do dobrego tonu należy wyjazd do Abazyi, jak do Nicei lub Monte Carlo. Oczywiście najpiękniejsze położenie, ani najbujniejsza wegetacya południowa nie wskórałaby tutaj nic, gdyby nie poparcie udzielone tej pięknie zresztą od natury wyposażonej miejscowości, przez dwór austryacki. Za tym poszły dwory inne, dalej rodziny arystokratyczne, za temi zaś podążyły w ślady całe tłumy burżuazyi, wreszcie szary tłum ludzi bardzo średnio zamożnych, ślepo naśladujących zwyczaje i nawyczki górnych „dziesięciu tysięcy" naszego społeczeństwa. Dzisiaj Abazya roi się od tysiącznego najprzeróżniejszego pochodzenia i mowy tłumu, od najwyższej arystokracyi do proletaryuszów w przydeptanych bucikach chodzących, a szukających w tej rzece płynącej rozkoszą i zbytkiem skromnego kawałka chleba. W obecnym sezonie także nie brak w Abazyi przedstawicieli najwyższej arystokracyi. Dosyć wymienić nazwiska ks. Fürstenberga, jakoteż księcia Luxemburga, nadających ton życiu tutejszemu. Pierwszy przybył własnym jachtem z orszakiem czterdziestu głów liczącym, drugi prawie że z takim samym. Z polskiej arystokracyi bawią tutaj: hr. Chrapowicka i hr. Ożarowska z Warszawy, ks. Słanisław Jabłonowski, Aleksander hr. Potocki, hr. de la Scala i hr. Jadwiga Dzieduszycka, Albert hr. Cetner, Ewa hr. Korytowska z Galicyi, z osób wybitniejszych pp. Jerzmanowscy z Prokocima, radca komercyalny Falter, dr. Ziembicki, inż. Hand z Krakowa, adw. dr. Żukotyński, radca namiestnictwa Roder ze Lwowa etc. etc. Z tego szeregu nazwisk, przypadkowo tylko zestawionych, można mieć wyobrażenie o olbrzymim ruchu tutaj panującym w dni zwykłe. Cóż dopiero mówić o ostatkach karnawału? Ludność nad całym Adryatykiem mieszkająca przyjęła pod tym względem zwyczaj włoski i cały karnawał obchodzi na ulicy. Szczególnie ożywione są naturalnie „ostatki". Roi się więc od masek i korowodów, w barwne kostyumy ubranych dziewcząt i mężczyzn, muzykanci w komicznych strojach przeciągają ulicami miasta, „confetti" i „coriandoli" sypią się gradem w oczy i twarz, powozy ubrane w kwiaty i strojne w bogate draperye posuwają się, noga za nogą, przez ciżbę. Powozy poprzedzają jeźdźcy w komicznych kostyumach i z trudem przemykają się na ukwieconych rowerach kolarze. Wrzawa, pisk i śmiech głuszą wszystko, ulica szaleje. Tak wygląda karnawał na Rivierze, w miastach portowych w Rjece i Raguzie.

* * *

Z niesłychanym zbytkiem i wielką pomysłowością urządzono w ostatnią niedzielę zapustną, także corso kwiatowe w Abazyi. Szereg powozów prze pysznie postrojonych poruszał się przez corso, witany przez tłumy stojącej z obu stron publiczności. Obrazki nasze przedstawiają właściwą chwilę kiedy korowód powozów, masek i kostyumów wyrusza z miejsca dążąc przez główną ulicę (c o r s o) nad morzem, aż ku pobliskiej Ice i Lowranie. *s. b.*



Karnawał na austryackiej Rivierze: Początek korowodu kwiatowego.



Karnawał na austryackiej Rivierze: Corso kwiatowe wraz z korowodem masek w niedzielę zapustną w Abazyi.



Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył
A. S.

2 (Ciąg dalszy).

Konstancya Jaroszynowa powróciła do domu tak wzburzona i rozgorączkowana, że pokojówka jej chciała natychmiast zawezwać lekarza. Ale ona nie pozwoliła na to, bo wiedziała dobrze, co jej jest.

— Morderstwo! jej ukochany mąż został zabity gdzieś w jakiemś odludnem pustkowiu, a ona nie wie nawet, gdzie zbrodniarz usypał mu mogiłę!

Oddaliwszy pokojówkę, rzuciła się z zaciśniętemi pięściami na szezlong w swoim buduarze. Z ust jej popłynął potok złorzeczeń, a wszystkie spadały na głowę mordercy.

Zmrok już zapadł i w całym domu jasno gorzały światła, gdy stary służący wszedł do pokoju swej pani i podał jej na tacy mały wizytowy bilet z skromnym napisem „Włodzimierz Bohdan“.

— Prosić! — zawołała Konstancya Jaroszynowa i poprawiwszy nieco wzburzone włosy weszła do salonu, gdzie stał już młody niezwykle urodziwy mężczyzna.

Włodzimierz Bohdan mógł liczyć najwyżej dwadzieścia pięć lat i doprawdy dziwić się należało księciu Stefanowi, że jemu, a nie komu innemu powierzył tak trudne zadanie. Ale książe znał swoich ludzi i wiedział, że Bohdan jest jednym z najzręczniejszych tajnych detektywów.

Silnie zbudowany, odważny, nie bał się młody ajent nikogo, ani niczego. Stalowe jego muszkuły, nieraz już wybawiły go z niebezpieczeństwa, a zimna krew i spokój niezachwiany nawet wówczas, gdy patrzył w oczy śmierci, pozwalały mu w najgorszych wypadkach być panem położenia.

Bohdan wraz ze swą staruszką matką zamieszkiwał mały domeczek w pobliżu Newy. Nikt z sąsiadów nie wiedział, że młody człowiek jest członkiem tajnej policyi i to jednym z najdoświadczeńszych. Umiał on tak doskonale zamaskować się w swych czynnościach, że wszyscy byli przekonani, iż pracuje on ciężko na swój kawałek chleba, jako komisant w którymś z olbrzymich magazynów na Newskim Prospekcie.

— Jego wysokość książę Stefan Teodorowicz przysłał mnie tutaj! — rzekł młody człowiek półgłosem, zbliżając się z ukłonem do pani domu — czy możemy być pewni Konstancyo Jaroszynowa, że nas tu nikt nie podsłuchuje?

— Spodziewam się! — odparła piękna kobieta, podając dłoń Włodzimierzowi — moja służba nie ma takiego zwyczaju!...

— A jednak pozwoli pani, że pozamykam drzwi — rzekł detektyw i nie czekając nawet na odpowiedź pani domu, szybko zamknął na klucz drzwi wiodące do przedpokoju, poczem zapytał:

— A te drugie drzwi dokąd prowadzą?

— Do mojej sypialni...

— A stamtąd zapewne są drzwi na korytarz?

— Naturalnie!...

— Pozwoli więc pani...

I to rzekłszy Włodzimierz Bohdan znikł w sypialni Konstancyi Jaroszynowej. Zgrzyt klucza w zamku dał się słyszeć raz i drugi, poczem detektyw znów ukazał się w salonie.

— Radziłbym pani — rzekł spokojnie — oddalić swą obecną pokojówkę. Ona ma brzydki zwyczaj podsłuchiwania! Nie spodziewała się widocznie, że zajrzę do pani sypialni i niemało zdziwiła się, gdy ją odkryłem za drzwiami! No, ale teraz nie będzie nam już przeszkadzać, bo po prostu wziąłem ją grzecznie za rękę i wyrzuciłem na korytarz. Do pani teraz tylko należy, jak wytłumaczyć jej, obecność obcego mężczyzny w twej sypialni. Przepraszam, że sprawiłem pani taki kłopot, ale musiałem!...

Konstancya Jaroszynowa milcząc zdumiona spoglądała na młodego człowieka.

— A teraz niech pani będzie tak łaskawą scharakteryzować mi jaknajdokładniej swego męża, jego upodobania i namiętności.

Piękna kobieta uczyniła to bez wahania. Nie zataiła nic, owszem otwarcie przyznała, ile przykrości sprawiały jej nieraz lekkomyślność i miłostki Borysa Jaroszyna.

Włodzimierz siedząc przy stole zapisywał to wszystko skrzętnie w swoim notatniku.

— Zdziwiłaby się pani — rzekł w końcu z uśmiechem — gdyby pani zobaczyła, co teraz napisałem. Nic więcej, tylko spis moich codziennych wydatków. Najbardziej wyrafinowany zbrodniarz, przeglądnąwszy moje zapiski, nie mógłby powziąć podejrzenia choćby nawet najlżejszego, ale ja doskonale rozumiem, co znaczy każda litera, każda cyfra w tych zapiskach! Ale idźmy dalej! czy nie mógłbym zobaczyć pokojów Borysa Jaroszyna?

— Mieszkaliśmy tutaj razem! — odparła Konstancya — najwyżej mogłabym chyba zaprowadzić pana do pracowni mego męża.

— Tego właśnie życzyłem sobie. Mieści się ona zapewne gdzieś przy sklepie, albo koło magazynów handlowych...

— Tak! ale obecnie jest zamknięta, że zaś nikt już tam nie pracuje, więc będziemy mogli udać się tam całkiem niespostrzeżenie.

Konstancya Jaroszynowa wstała i otworzywszy drzwi od przedpokoju nadsłuchiwała chwilę.

— Wszędzie już jest spokojnie. Na wierność naszego starego służącego możemy się zdać zupełnie. Pokojówka niedawno jest u mnie, ale ona nie potrzebuje wiedzieć o naszej wycieczce.

— A czy nie byłoby wskazanem wziąć tego służącego z sobą? — zapytał Włodzimierz.

Zamiast odpowiedzi, Konstancya wzięła dzwonek do ręki. Po chwili wszedł stary sługa do salonu. Trzydzieści lat służył on w rodzinie Jaroszynów, a Konstancyę znał prawie od dziecka. Na jego wierność można było liczyć bezpiecznie.

— Chodźcie-no bliżej stary! — rzekł łagodnym głosem Włodzimierz — czy ty nie domyślasz się, gdzie może teraz przebywać twój pan, Borys Jaroszyn?...

— Wasza wielmożność — odrzekł spokojnie służący, spoglądając ze zdumieniem w bladą twarz swojej pani — nie wiem, ale Borys Jaroszyn nigdy tak długo nie bawił poza domem!...

— Mój mąż, a twój pan został prawdopodobnie zamordowany! — odezwała się krótko Konstancya.

Stary sługa zadrżał z przerażenia.

— A Matko Boża Kazańska! — zawołał — czyż to być może?!...

— To prawie pewne! — rzekła ponuro Jaroszynowa — teraz chodzi tylko o to, aby wykryć morderców, a do tego ten pan nam dopomoże! Słuchaj stary, pamiętaj, żebyś nic nikomu nie mówił, żebyś nawet słówkiem przed nikim nie wspomniał o tem, co my dziś będziemy tu robić. Gdyby cię pokojówka pytała, co jakiś młody człowiek robił w mej sypialni, to powiedz jej, że jeśli tylko wspomni komu o tem, służbę utraci w tej chwili A teraz prowadź nas stary do pokoju pana!...

Stary sługa smętnie pokiwał głową i ze zdumieniem spoglądał na młodego detektywa. Znał on dobrze potęgę policyi i dziwił się, że tak młodemu chłopcu wkładają na barki tak ciężki obowiązek. Nie wyrzekł jednak ani słowa, tylko wolnym krokiem ruszył za Konstancyą Jaroszynową, która idąc naprzód wskazywała drogę Włodzimierzowi Bohdanowi.

W przedpokoju pani domu zarzuciła na siebie futro. To samo uczynił Włodzimierz pytając przy tem:

— Prawdopodobnie pójdziemy więc przez podwórze?

— Tak jest! — szepnął półgłosem stary sługa — kancelarya Borysa Jaroszyna mieści się w oficynach zaraz koło magazynu i innych składów.

Po chwili wszyscy troje znaleźli się na małym podwórku. W całej kamienicy światła były już pogaszone i nikt nie zwracał na nich uwagi. Stary sługa mimo ciemności szedł pewnym krokiem, prowadząc za sobą panią i młodego detektywa. Po chwili stanęli przed wielką bramą, okutą silnie w żelazo. Stary sługa nachylił się koło zamku, klucz zazgrzytał i brama stanęła otworem.

Weszli teraz w długi korytarz. Przed czwartymi drzwiami stanęli.

— To tutaj — rzekła Konstancya Jaroszynowa i podała słudze dwa klucze.

Ten otworzył najpierw żelazne drzwi zewnętrzne, potem wewnętrzne ciężkie dębowe podwoje i Włodzimierz Bohdan poprzedzany przez panią domu stanął wreszcie w prywatnym gabinecie Jaroszyna.

— Słuchaj-no stary, spuść rolety — rzekł Włodzimierz, wskazując na jedno jedyne okno, jakie znajdowało się w pokoju — a potem zapal światło.

Jasny blask lamp elektrycznych rozświecił dużą wygodnie urządzoną izbę.

— Dobrze! a teraz bierzmy się do pracy! Ta wielka szafa zawiera pewnie księgi handlowe i papiery, nieprawdaż Konstancyo Jaroszynowo?

— Tak! — rzekła zapytana, podając staremu słudze cały pęk drobnych kluczyków — Borys, wyjeżdżając, zostawił mi wszystkie klucze, ale pieniędzy większych i papierów wartościowych nie ma tu wcale, gdyż te z reguły dajemy do banku w przechowanie...

— To mnie też bardzo mało obchodzi, bo przedewszystkiem chciałbym zapoznać się tylko z ostatniemi obrotami domu handlowego Borysa Jaroszyna.

I to mówiąc młody detektyw przy pomocy starego sługi zaczął z szafy dobywać księgi i układać

je na stoliku, poczem siadł spokojnie w fotelu i z całą gorliwością zajął się ich przeglądaniem.

Praca ta trwała może z godzinę i przez ten czas Włodzimierz Bohdan bynajmniej nie zwracał uwagi na swe otoczenie, tylko z pilnością studenta, przygotowującego się do ciężkiego egzaminu, przerzucał karty ksiąg i robił zapiski w swoim notatniku.

Konstancya Jaroszynowa usiadłszy tymczasem w wielkim fotelu koło kominka, wpatrywała się bacznie w twarz młodego człowieka, ale nic nie zdołała w niej wyczytać, bo Włodzimierz Bohdan miał tę zaletę, że zawsze umiał przystroić swe oblicze w wyraz zupełnej obojętności.

Na koniec Włodzimierz zamknął głośno ostatnią księgę, schował notatnik do kieszeni i podniósł się z krzesła.

– Otwórzcie mi teraz wszystkie przegrody w tej szafie — odezwał się rozkazująco do starego sługi, poczem szybko przeglądnął zachowane tam papiery i zwrócił się ku Konstancyi Jaroszynowej. Dziękuję pani! Chciałbym jeszcze zrewidować biurko. Ten stary antyk zapewne ma dość kryjówek i schowków i tu może odnajdziemy coś ciekawszego...

Na znak dany przez panią, służący w milczeniu pootwierał wszystkie szuflady i Włodzimierz z pedantyczną skrupulatnością zaczął przepatrywać ich zawartość. Szło mu to ogromnie szybko i sprawnie.

A jednak znów godzina upłynęła i Włodzimierz Bohdan musiał sobie w duchu powiedzieć, że jeszcze nie znalazł nic takiego, coby istotnie mogło mu posłużyć za wskazówkę w sprawie tajemniczego zniknięcia Borysa Jaroszyna. Z kolei więc zaczął opukiwać biurko, jak lekarz chorego pacyenta.

— Tu coś jest! – rzekł w końcu z uśmiechem zadowolenia.

I nie pytając się nawet o pozwolenie dobył z kieszeni małe dłutko z prawdziwej angielskiej stali. Równocześnie prawie wśród ciszy, jaka panowała w pokoju, rozległ się trzask złamanego zamku i po chwili z tajemniczej kryjówki Włodzimierz dobył spory plik papierów.

— No! więcej tam już nic niema! – uśmiechnął się wesoło.

A Konstancya Jaroszynowa z osłupieniem wpatrywała się w tę garść różnokolorowych, silnie pachnących papierów, które młody detektyw trzymał w ręku. Ona sama nie miała nigdy pojęcia o ich istnieniu.

Włodzimierz Bohdan zajął się tymczasem systematycznem ich układaniem. Nie było to nic innego, jak tylko z półtora tuzina listów miłosnych ostatniej doby, jawny dowód, że Borys Jaroszyn nie grzeszył wcale wiernością małżeńską.

Detektyw spojrzał na Konstancyę Jaroszynową i dostrzegłszy trupią bladość, jaka okryła jej oblicze, odrazu powziął postanowienie, co ma uczynić.

— Zdziwiłem się! – szepnął – tu nic a nic ciekawego nie ma!

— Co zawierają te listy? Pokaż je pan — rzekła szorstko Jaroszynowa.

Ale detektyw złożył wszystkie listy razem, szybko podszedł do kominka, na którym stały zapałki i świece. Zanim Konstancya Jaroszynowa zoryentowała się, co on robi, Włodzimierz szybko zapalił świecę i przytknął do płomienia plik listów. Swąd spalonego papieru rozszedł się po pokoju i niebawem tylko kupka popiołu świadczyła o istnieniu tych zdradliwych listów.

— Co pan zrobiłeś? — zawołała oburzona Konstancya — dlaczego pan...

— Pani mi wybaczy — rzekł spokojnie Włodzimierz – ale listy te zawierały osobistą tajemnicę Borysa Jaroszyna, tajemnicę, która mogłaby sprawić pani przykrość, gdyby ją poznała. Dość już pani cierpisz i nie trzeba zwiększać twej boleści. Wiem o tem i dlatego postąpiłem tak, a nie inaczej. Sądzę, że zrobiłem dobrze i pani nie masz potrzeby gniewać się za to na mnie...

— Rozumiem! — szepnęła Jaroszynowa przygryzając wargi – chodzi tu o jakąś miłostkę męża! Powiedz mi pan, czy ona ma coś wspólnego z jego zniknięciem?

— Nie, pani! zaręczam, że te listy ze sprawą, jaka obecnie nas zajmuje, nie mają nic wspólnego. A teraz przepraszam, bo chciałbym jeszcze przeszukać tę szafę w kącie...

Konstancya Jaroszynowa nie rzekła już ani słowa.

W dwadzieścia minut później, Włodzimierz Bohdan załatwił się już z swą robotą, ale nie mógł powiedzieć, żeby był z niej zadowolony.

Włodzimierz Bohdan żył skromnie, ale też nigdy niczego mu nie brakło. Lecz marzył zawsze o tem, aby dorobić się majątku, aby jego matka mogła na starość odpocząć. To też gdy policmajster powiedział mu o co chodzi i że za rozwiązanie zagadki wyznaczono dziesięć tysięcy rubli nagrody, powiedział sobie:

— Albo zginę, albo dostanę morderców w me ręce!

To samo powtórzył, opuszczając późną nocą dom Jaroszynów. A praca, jaką przedsiębrał była ogromna. Bez żadnych poszlak, bez żadnych wskazówek musiał rozpocząć poszukiwania.

Wracając do domu, przemyśliwał tylko nad tem, w jaki sposób odkryć ślad Jaroszyna i gdzie kupiec mógł się udać z Granowska.

Ale gdy stanął przed małym domkiem nad Newą, który zamieszkiwał wraz z matką, twarz jego przybrała znów maskę obojętności, a nawet usta złożyły się do wesołego uśmiechu.

Matka nigdy nie powinna była wiedzieć, czem się trudni jej syn jedyny, najukochańszy i jakie mu wciąż zagraża niebezpieczeństwo...

Wydarta chłodnym falom Newy.

Na drugi dzień Włodzimierz Bohdan znikł z Petersburga. Na godzinę przed swym wyjazdem był



Włodzimierz szybko zapalił świecę i przytknął do płomienia plik listów...

jeszcze na posłuchaniu u księcia Stefana Teodorowicza. O czem jednak mówili, tego nikt nie wiedział, a nawet nie domyślał się wcale. Natomiast Konstancya Jaroszynowa otrzymała mały bilecik od tajnego detektywa i bilecik ten schowała do ogniotrwałej kasy w pracowni męża.

Po trzech dniach Bohdan powrócił i w tej chwili wprost z dworca kolejowego podążył do policyi. Gdy tylko dał znać o swojem przybyciu policmajster zawezwał go do siebie i znów rozmawiał z nim bez świadków.

W godzinę później młody człowiek z chmurą na czole kroczył bocznemi uliczkami stolicy. Trzy dni pracy, trzy nieprzespane noce nie przyniosły żadnych pozytywnych rezultatów. Z początku nawet Włodzimierz miał szczęście.

Trafił na ślad Borysa Jaroszyna. Dowiedział się, że kupiec wyjechawszy wśród strasznej zawiei śnieżnej z Granowska, dotarł do najbliższej osady chłopskiej, stamtąd zaś odesławszy woźnicę z powrotem do miasteczka, sam dalej ruszył piechotą, bo w osadzie nie było koni.

Ale gdzie poszedł? dokąd się skierował?

Wszelki ślad od tej chwili zaginął i Włodzimierz Bohdan nie mógł nic wyśledzić.

Zwykła obojętność opuściła go. Nerwy zaczęły w nim grać, a przecież tylko zimna krew mogła mu dopomódz w poszukiwaniach.

Że Borys Jaroszyn został gdzieś na uboczu zamordowany, o tem już nie wątpił. Ale gdzie? kto był tym zbrodniarzem? gdzie podział się trup zamordowanego?

Policmajster głuchem milczeniem odpowiedział na raport Włodzimierza. Widocznie nie był zeń zadowolony. Tak, niema wątpliwości, że nie był zeń zadowolony, bo przecie na pożegnanie oświadczył mu z szyderczą ironią, że wyśle na poszukiwania dwunastu innych ajentów i do tygodnia mordercę Borysa Jaroszyna będzie mieć w ręku!

Pozwolił jednak, żeby Włodzimierz dalej zajmował się tą sprawą. Lecz dając to pozwolenie, uśmiechnął się tak złośliwie, że Włodzimierz odczuł, iż policmajster stracił już doń dawne zaufanie.

Myśląc o tem, młody detektyw zaciskał pięści. Jakto? więc teraz dopiero, po pięciu latach pracy, po pięciu latach tryumfu, miała mu się noga pośliznąć?

Włodzimierz nie miał się przed kim zwierzyć, nie miał spytać kogo o radę, bo nie miał przyjaciół, wiedział jednak dobrze, że nie miałby już co robić przy policyi i musiałby prosić o dymisyę, gdyby któremuś z tych dwunastu ajentów przypadkowo udało się wpaść na trop Borysa Jaroszyna. I ta myśl dręczyła go niezmiernie.

— Przysiągłbym — myślał — że Borys Jaroszyn zginął gdzieś w okolicy Granowska. To też nie przyłączę się do moich kolegów, którzy pewnie według rozkazu księcia podzielą całą przestrzeń na rewiry, ale będę szukać na własną rękę!...

I z tem silnem postanowieniem przyszedł do domu. Staruszka matka przyjęła go radośnie. Wiedziała ona, że jej syn służy przy policyi, ale niedomyślała się wcale, że zajmował tak niebezpieczne stanowisko. Gdy Włodzimierz wyjeżdżał z Petersburga, mówił, że zmuszają go do tego obowiązki służbowe.

Tak samo było i teraz. Tylko, że teraz staruszka wpatrując się w twarz syna i w jego posępne czoło, odrazu poznała, że mu coś dolega.

Chciała go wybadać, chciała dowiedzieć się, co mu leży na sercu, ale daremnie. Włodzimierz cały wieczór ani słówkiem nie wspomniał jej o niczem.

Całą noc spędził zaś w swym pokoju bezsennie i ostatecznie po długich namysłach nakreślił sobie nowy plan działania. Na drugi dzień przy śniadaniu, matka widząc jego niewyspane oczy i bladość twarzy, zapytała otwarcie:

— Co ci to mój synu, co ci dogryza mój sokole?

Włodzimierz schylił się i złożył gorący pocałunek na jej ręce.

— Nie pytaj matko lepiej; nie pytaj! Służba nie drużba i więcej w niej przykrości, jak przyjemności... ot, i znowu muszę w drogę!...

— Wyjeżdżasz?!...

— Muszę matko! muszę! przecież chyba to nie pierwszy raz, że cię porzucam i ruszam w dalekie strony.

Po śniadaniu Włodzimierz wziął trochę bielizny do małej ręcznej torebki, ukradkiem schował do kieszeni śliczny rewolwer ostro nabity i pożegnawszy się czule z matką wyszedł z domu.

Po ośmiu dniach zjawił się znów w Petersburgu, ale twarz jego była jeszcze bledsza, jeszcze większa chmura zagościła na jego czole, a w ciemnych źrenicach gorzały bez przerwy jakieś chorobliwe blaski.

C. d. n.



Przebicie tunelu Symplońskiego: Robotnicy zajęci rozszerzaniem otworu w tunelu.

Przebicie tunelu Symplońskiego.

Myśl ludzka, mająca swe siedlisko w tak małym mózgu ludzkim — wykonuje przecież dzieła, których ogrom w zdumienie wprawia, a donioslość na wieki całe się rozciąga. Geniusz ludzki w rozmaitych formach i sposobach się wypowiada. Podziwiamy geniusz wojenny Napoleona, korzymy myśl i duszę przed wieszczami ludzkości, jak Goethe, Schiller, Heine i zdumiewamy się pomnikowemi, gigantycznemi budowlami, jakiemi w starożytności były piramidy i kolos; w nowych czasach: wieża Eifel, koleje żelazne na najwyższe szczyty górskie, kanały łączące morza z morzami, jak kanał sueski, kanał panamski itp.

Godnie w rzędzie pomnikowych tych dzieł myśli i rąk ludzkich stanąć może świeżo przekopany tunel Symploński. Cała armia robotników, mająca na czele dzielnych przewodników — inżynierów. rzuciła się jakby do walki na olbrzymie kamienne cielsko góry. Niezliczona moc ludzi kuła i wierciła w jej łonie, huczały, szumiały i warczały potworne maszyny. A góra broniła się wytrwale i rozpaczliwie: pluła na napastników źródłami gorącej wody, zrzucała z grzbietu swego głazy na pracujących i zionęła z łona swego zabójczymi, trującymi gazami. I człowiek w walce tej zwyciężył. Przed kilku dniami została ostatnia warstwa przebitą. O pracy nadludzkiej i o tej masie kamiennej bryły — świadczy dostatecznie następujące krótkie zestawienie:

Ilość wyrzuconego z tunelu kamienia wynosi 1,070.000 metrów kubicznych, a dynamit użyty na wysadzenie tej masy ważył 1,350.000 kg., koszta zaś przebicia wynoszą 73 milionów franków.

Przypatrzmy się bliżej temu monumentalnemu dziełu!

Sam tunel jest już wprawdzie przebity — do komunikacyi kolejowej nie prędzej jednak będzie sposobnym, aż gdzieś około października b. r. Powodem tego są gorące źródła, które właśnie przy samem ukończeniu przebicia, nagle wytrysły. Źródła te muszą być sztucznie odprowadzone osobnemi maszynami i specyalnymi drenami. Tunel łączy stacyę Brieg w Szwajcaryi ze stacyą Iselle we Włoszech; długość jego wynosi 19.731 m.

13 list. r. 1898 stanął układ budowy między Szwajcaryą a Włochami i od tej chwili zaczęto energicznie prowadzić roboty, uwieńczone przed kilku dniami spóźnionym wprawdzie, ale zupełnym tryumfem. Na czele przedsiębiorstwa stanęła dzielna czwórka inżynierów wszechświatowej sławy, których nazwiska zapisały się raz na zawsze na kartach historyi. A byli to:

Radca Edward Salzer-Ziegler, założyciel wielkiej fabryki maszyn w Winterhur w Szwajcaryi. Studyował on początkowo prawo, potem przerzucił się do nauk inżynierskich. Dzięki jemu głównie doszedł do skutku układ międzynarodowy i komitet budowy tunelu ukonstytuowany został.

Drugi uczestnik, to pułkownik wojsk szwajcarskich oddziału inżynierskiego, Edward Loeker z Zurichu. Wsławił on się poprzednio już budową karkołomnej drogi żelaznej na górę Pialtus i Gothard. Prócz tego był czynnym przy budowie południowo-wschodnich kolei szwajcarskich.

Trzecim z nich był inżynier Karol Brandau. Wybudował on już wiele dróg żelaznych, że wymienimy tylko: kolej przez Gundelsheimer w Schwarzwaldzie, w Tyrolu i Salzkamergucie. Jego dziełem jest również kolej kaukazka z Batum do Tyflisu i urządzenie kopalń w Hiszpanii.

Czwartym wreszcie współdziałaczem kolosalnego tego przedsięwzięcia był technik Alfred Brandt, niemniej od towarzyszy swoich uzdolniony i biegły w swoim fachu inżynier. Niestety, nie było mu już danem doczekać się końca zaczętego dzieła. Natężająca praca i trudy zawodu, zbyt wcześnie przecięły nić jego żywota. Brandt zmarł jeszcze w r. 1899.

Dzieło zostało z olbrzymim nakładem pieniężnym, wysiłkiem pracy fizycznej i myśli — szczęśliwie doprowadzone do końca. Nie obeszło się jednak przytem bez ofiar w życiu ludzkiem. Prócz bowiem inżyniera Brandta, poniósł na miejscu śmierć wskutek wybuchu trujących gazów, młody pomocnik technik, Włoch Gressi, a dwóch robotników dogorywa w szpitalu.

Drób w Galicyi.

Kaczka, indyczka, królik — na pozór stworzenia zbyt błahe, żeby na nich mógł się dłużej zatrzymać nasz wzrok, a w gruncie... no, wprawdzie jeszcze niema stowarzyszeń tych istot, ale są już stowarzyszenia, które mają specyalnie za zadanie. opiekowanie się nimi i uszlachetnianie ich. Istnieje w Galicyi towarzystwo pod nazwą: „Krajowe towarzystwo chowu drobiu, królików i gołębi we Lwowie“.



Przebicie tunelu Symplońskiego: Wjazd do tunelu.

Ono to wzięło na siebie tę rolę. Jak szeroka Galicya, we Lwowie, Krakowie, Sanoku, Złoczowie itd. ma to towarzystwo filie, urządza wystawy, gdzie z za zakratowanych bud ukazuje ciekawym widzom różne „zielono-nóżki“ i „niezapominajki“, wzywając do szerzenia chowu tych kur, a nie innych; gdzieniegdzie rozdaje okazy lepszych ras, np. kaczek, ażeby poprawić hodowlę miejscową, tam znów zakłada kurniki zarodowe, tu prowadzi chów zagranicznych królików albo gołębi. W celu prowadzenia szerszej agitacyi, od pewnego czasu wydaje miesięcznik illustrowany pod tyt. „Hodowca drobiu“. Mówi w nim o sprawach hodowania, ulepszania rasy, o leczeniu chorób, również przemawia czasami w sprawach ptactwa domowego, ozdobnego i śpiewającego, kanarków, czyżów i t. d. Członków liczy Towarzystwo do 500; fundusze są zasilane przez subwencye rządowe; oprócz tego stałe swoje oparcie ma Towarzystwo w Akademii weterynaryjnej we Lwowie, skąd zawsze może otrzymać fachową pomoc. Istotnie pożyteczna jest działalność tego Towarzystwa: przyczynia się ono w swej cząstce do podniesienia naszego przemysłu, co dla rozwoju kraju jest nader ważnem.



Przebicie tunelu Symplońskiego: Robotnicy zajęci wywożeniem gruzów z tunelu.



Nowy dyrektor Towarzystwa muzycznego w Stryju: Adam Wroński.

Nowy dyrektor Towarzystwa muzycznego w Stryju.

Muzyka ludowa ma u nas w Polsce nie wielu przedstawicieli z pośród kompozytorów. Pomijamy dawnych twórców, jak Ogiński, Kamiński, Karpiński, Stefani, Elsner, Lasocki, Hoffman (ojciec słynnego wirtuoza).

W późniejszych czasach szkoła włoska zupełnie zgnębiła ludowy pierwiastek w muzyce, aż dopiero nieśmiertelny Moniuszko swoją „Halką“ nadał zupełny zwrot twórczości muzycznej — i szeregiem arcydzieł dokonał wspaniałego odrodzenia opery polskiej.

Do tej plejady kompozytorów należy w pierwszym bodaj rzędzie i Adam Wroński.

Ten prawdziwy „Strauss polski“ ma swoją zupełnie oryginalną i odrębną fizyonomię duchową, to pieśniarz-poeta, który przecudowne myśli swoje zaklina w tony. Któż nie zna jego przepysznych mazurów, kto nie słyszał bodaj raz w życiu jego upajających walców, ognistych czardaszów, lub posuwistych polek?!

Wroński czerpie natchnienie z ludowych motywów, obrabia je artystycznie i umiejętnie i jako skończoną kompozycyę — podaje zdumionej publiczności. To też społeczeństwo zna go dobrze i kocha swego mistrza tonów, a w każdy karnawał oczekuje z niecierpliwością „nowych rzeczy“ Wrońskiego. Wroński grywa ze swoją wyborną orkiestrą stale podczas sezonu kąpielowego w Krynicy.

Przed kilku dniami został Wroński mianowany dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Stryju. Nie jest on wcale debiutantem na nowem swojem stanowisku. Karyerę artystyczno muzyczną rozpoczął bowiem już w r. 1867. Na ówczesnej wystawie muzycznej w Paryżu grał w nadsekwańskiej stolicy, jako dyrygent orkiestry 73 p. p. Następnie przez pełnych 6 lat z rzędu był dyrektorem Towarzystw muzycznych w Kołomyi i Samborze. Pomimo tych zajęć, absorbujących prawie cały czas i siły — pracuje i pracował Adam Wroński bez przerwy na polu kompozytorskiem.

Oprócz niezliczonej ilości utworów tanecznych, z których zwłaszcza mazury odznaczają się wyborną rytmiką i oryginalnością — skomponował Wroński prześliczne muzyki do sztuk znanego autora sztuk ludowych, Staszczyka, a mianowicie do „Czartowskiej ławy“, „Błędnych ogników“, „Pana Tadeusza“ i „Króla dziadów“.

Stryj pozyskał w osobie Wrońskiego niepospolitą siłę muzyczną. Jest więc wszelka nadzieja, że i stryjskie Towarzystwo muzyczne obudzi się pod batutą Wrońskiego ze swego letargicznego snu, a tem samem podniesie się znacznie i kultura muzyczna w mieście.



Drób w Galicyi; Grupa członków Towarzystwa chowu drobiu we Lwowie.



Władysław Antoniewski.

Artysta nie tyle głośny, ile zasłużony około sceny polskiej, zwłaszcza prowincyonalnej.

Aktor prowincyonalny ze świadectwem maturycznem krakowskiej szkoły realnej (fenomen!) tuła się po Królestwie przez rok cały, poczem przybywa do Krakowa, dokąd sprowadził go Koźmian i powierzył mu dział amantów. Debiutuje jako Piotr w „Fedorze" z powodzeniem. Mimo to na zaproszenie Józefa Rychtera przenosi swoją walizkę teatralną do Poznania i bierze pierwszorzędnych amantów. Stąd zabrał go w r. 1885 dyrektor Glickson do Krakowa, gdzie prócz poprzednich grywa role „charakterystyczne" i pełni urząd reżysera teatru krakowskiego do roku 1892. W tym roku poświęca się dla „idei" i ma szaloną odwagę objąć dyrekcyę stałego teatru stanisławowskiego im. Al. hr. Fredry po smutnych doświadczeniach śp. Lucyana Kwiecińskiego, założyciela i dyrektora trzeciego teatru w Galicyi. Przez lat kilka walczy jak lew z nieprzezwyciężoną apatyą szanownej P. T. publiki, lecz twardy kark episjerski kochanej prowincyonalnej filisteryi, przenoszącej operetkę lub tyngel—nad sztukę — nie ugiął się. Jedyny dobry teatr prowincyonalny rozsypał się, a dyrektor zaciągnął się w szeregi lwowskich histryonów podówczas teatru skarbkowskiego, potem teatru miejskiego, gdzie przebywa po dziś dzień.

Antoniewski jest dziś prezesem Towarzystwa Bratniej Pomocy artystów, założycielem i duszą istniejącej od roku czytelni artystów teatru miejskiego i jednym z sekretarzy. Nadto jest — oczywiście — aktorem, a szkoda, że repertuar obecny układa się w ten sposób, że wielu pożytecznych a zdolnych artystów musi się stale pomijać, lub co najwyżej łatać nimi dziury... Kto widział Antoniewskiego w rolach tytułowych w dramatach „Winny", „Wernyhora", „Kazimierz Wielki i Estera", kto widział jego Wurma w dramacie Szylera „Intryga i miłość" — ten pewnie żałuje, że tego artystę tak rzadko widać na scenie...

W roku zeszłym uległ wypadkowi. Podczas przedstawienia „Lilith" spadła mu tarcza na stopę, raniąc dotkliwie, skutkiem czego przez kilka miesięcy musiał pauzować... Od dni kilku wrócił na scenę.

W życiu codziennem wesoły kumpan, lokator kancelaryi Nr. 44 i gospodarz śniadańkowych zebrań w tejże kancelaryi, cieszy się stałym mirem między kolegami i znajomymi... Nadto kobieciarz obcałowujący cicho wszystkie głośne piękności sceniczne (oczywiście kobiece), o których wiele mówią, że ich dziś tu tak mało, a które Władka lubią... no bo ktoby go nie lubiał... *Klewe.*

ZE ŚWIATA.

Poprzez granice i kordony! — Zmysł polityczny i dowcip w manifestach carskich. — Z życia artystycznego Paryża.

Z zakątka domowego ogniska, gdzie cicho i spokojnie i sielankowo upływa dzień za dniem, wybiega czasem myśl ludzka dalej ku innym krajom, gdzie życie codzienne płynie szerokiem, wzburzonem i potężnem korytem. I sama z siebie powstaje w człowieku chęć i pragnienie odlotu, zetknięcia się z innymi ludźmi, poznania nowych stosunków i wydostania się na te niebosiężne szczyty, skąd można choćby przez chwilę popatrzeć na ten odmęt, w którym ścierają się wszyskie prądy i wszystkie kierunki, pchające ludzkość naprzód i wiecznie... naprzód.

W każdym człowieku może odruchowo rodzi się miłość kraju rodzinnego — i jeśli wzrokiem nie sięga ku tym olbrzymim przestrzeniom wszechświata, jeśli w swej piersi nie nosi płomiennej iskry zapału Konrada, by chcieć w ramiona swe objąć całą ludzkość, to przynajmniej musi czuć i znać te tysiączne nici, wiążące go z całym narodem, ze społeczeństwem, którego jest członkiem — i w ważniejszch chwilach musi doznawać tych rozkosznych dreszczy radości i wesela, czy też wstrząsających nawet duszą prostaczka uczuć smutku i boleści, będących udziałem wszystkich.

I dziś, gdy wypadki polityczne żywiej niż kiedykolwiek, postępują naprzód, gdy u nas w kraju, w zaborze rosyjskim przebywają nasi bracia czasy gorętsze może od r. 1863, w duszach i piersiach wszystkich ludzi, którzy z naszym narodem nie zatracili żywej łączności, musi odzywać się echo znanej nam zdawna pieśni: „Nie zginęła!" I mimo niektórych głosów, które mogły przypomnieć nam Targowicę — w dzisiejszej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, dała się odczuć łączność narodu i zgodne wystąpienie tych wszystkich klas, które są żywe i które chcą walczyć, gdyż wierzą słowom poety, że „walka o wolność, gdy się raz zaczyna, z krwią ojców spada dziedzictwem na syna!" I zaczęli walkę o prawa wszyscy i chłopi i robotnicy i mieszczaństwo i inteligencya i wszyscy, którym zaślepienie nie wyżarło serca i świętego ognia zapału z piersi!

W Krakowie, Lwowie i innych miastach młodzież zainicyowała składki na rzecz ofiar ruchu rewolucyjnego w Królestwie Polskiem. „Związek pomocy narodowej", „Towarzystwo demokratyczne" zbierają pieniądze na rzecz pomocy dla młodzieży polskiej z Królestwa, która wskutek strejku i prześladowań będzie zmuszoną kończyć studya w Galicyi. Jest to wspaniały objaw solidarności i nikt nie wątpi, że pomoc Galicyan dla dzielnych Królewiaków będzie prawdziwie wydatną i hojną!

I tym razem myśl nasza wybiegła prawdziwie daleko i śmiało, bo aż po przez kordony i słupy graniczne!

U nas ludzie wogóle nie wiele zajmują się polityką I słusznie! Bo i po co obciążać swe głowy pamiętaniem nazwisk wszystkich ministrów, a choćby prezydentów ministrów—którzy się zmieniają co miesiąc, co parę tygodni i — to pamiętaniem dat takich jeszcze, jak to, kiedy został wydany jaki manifest! A od manifestów — to się teraz roi! Myślicie, że tylko wysocy dygnitarze, ministrowie i cesarze wydają dziś manifesty!? Nie — nawet zwykli chudopachołcy, którym przeznaczone jest dźwigać ciężkie jarzmo żywota w pocie swego czoła, odważają się pisać manifesty do narodów.

Ot — taki mizerny pop rosyjski, jak ten Gapon, który przed dwoma miesiącami jeszcze chciał na kolanach korzyć się przed władcą i panem Rosyi, przed cesarzem, którego potęga olśniewała wszystkich małodusznych i groziła wszystkim, którzy tylko bać się umieli — dziś odważa się pisać manifesty do narodu rosyjskiego i to manifesty — może i bardzo mądre, ale zupełnie pozbawione dowcipu i lekkiego stylu, który uprzyjemniałby ich czytanie.

Bo — po co to takiemu popowi zabierać się do pisania manifestu?!, kiedy nie umie się stosować do nastroju chwili. Manifesty carskie, z którymi chciał biedny pop rywalizować, mają to do siebie, że przynajmniej nie nudzą, bo są dowcipne! Ot na przykład choćby ostatni manifest z dnia 3 marca. (Tę datę można sobie zapamiętać wyjątkowo ze względu na jej historyczne znaczenie w literaturze humorystycznej.) Po śmierci W. księcia Sergiusza usłyszeliśmy z ust carskich pocieszające słowa manifestu, który się tak zaczynał: „Podobało się b o s k i e j o p a t r z n o ś c i, której drogi są niezbadane, zesłać na Rosyę ciężkie próby" i... zabrać z tego padołu moskiewskiego despotę-gubernatora!

Byłem oburzony, że z wysokości tronu naigrawano się tak z wyroków opatrzności, na której konto zapisano śmierć Sergiusza.

Myślałem przez chwilę, że to może moment pokory tak przebija z tych dziwnych słów! Ale wkrótce przekonałem się, że to zupełnie co innego, że to tylko stały refren wszystkich manifestów carskich, od Katarzyny II począwszy, która zanadto miała dumy, by się korzyć — a zanadto umiała wesoło żyć, by nie pozwolić sobie nawet w swych oficyalnych przemówieniach i ukazach na dowcip!

Gdy zamordowano jej męża, cara Piotra III — powiedziała Katarzyna w manifeście do ludu, że były to wyroki opatrzności! Gdy jej syn, Paweł, zginął, uduszony szarfami, syn jego i następca, Aleksander I, idąc śladem Katarzyny, ogłosił poddanym, że „podobało się o p a t r z n o ś c i pozbawić życia naszego kochanego ojca i cara Pawła".

Czemuż więc dziś mianoby zrywać z przeszłością? Chociaż „opatrznościowo" w Rosyi zaczyna się coś psuć i to na dobre — jednak sentencyą życiową, znaną jeszcze Horacemu — winno być i dziś: „hej! użyjmy żywota" póki się da — no i nie traćmy animuszu i dobrego humoru, a dowcipem podtrzymujmy podszarpane nerwy. Polityką niechaj się zajmuje rada ministrów — a na czole carskim niech widnieje pogoda, bo w dzisiejszych czasach jeno dowcipem można łatać jeszcze dziury w szacie państwowej, kiedy innego środka się nie zna, lub znać nie chce.

Chciałbym już dać spokój tej polityce nudnej i której ludzie mają codzień aż po uszy! Ale pisząc nawet o świecie artystycznym, trudno nie zawadzić o kwestye polityczne, kiedy z niemi związane jest dziś wszystko — nawet rozwój sztuki. Bo też paryski świat artystyczny nie może się otrząść z tego wielkiego szczęścia, jakie go spotkało, że rząd nowego prezydenta ministrów R o u v i e r a powołał do życia nową instytucyę: państwowy sekretaryat sztuk pięknych! Ta łaska spadła tak niespodziewanie, że równocześnie strach ogarnął przed nią wszystkich.

Naczelny kierownik sekretaryatu, D u j a r d i n-B a u m e t z, człowiek uprzejmy i powszechnie szanowany, dokłada wszelkich starań, by to nagłe przerażenie artystów przemienić w pełną entuzyazmu radość i zadowolenie.

A jest to do przewidzenia, że swojem zachowaniem się, pełnem taktu i uchylaniem czoła przed wszelkimi kierunkami, zyska sobie wkrótce uznanie i potrafi usunąć wszystkie kwasy i głosy niezadowolenia. Pan Dujardin-Baumetz poświęca się w prawdziwie wzruszający sposób swemu stanowisku. Nie ma ani jednej wystawy w Paryżu, któraby nie została otwarta bez niego i nie pod jego opiekuńczemi skrzydłami i wszędzie, gdzie tylko nadarza się sposobność kupienia dla państwa jakiegoś obrazu lub jakiejś rzeźby, nie omieszka się zjawić! Jego zapał i poświęcenie nie zna granic, a jego umysł wynajduje coraz to nowe środki przyjścia sztuce z pomocą. Nowością są tak zwane przyjęcia wieczorowe, które będą mieć u niego miejsce. To też na gwałt odnawiają się salony w *Palais Royal*, które mają być przeznaczone na te wieczory artystyczne. Są sceptycy, którzy z ironią i niedowierzaniem spoglądają na te wysiłki stworzenia w Paryżu drugiego dworu Medyceuszów — ale większość artystów czeka cierpliwie, gdyż czas może najlepiej powiedzieć o wyniku tych usiłowań i poświęceń pana D u j a r d i n-B a u m e t z.

Myśl stworzenia podobnych wieczorów artystycznych w Paryżu, jest już dość dawną i ogólnie za pożyteczną uznaną.

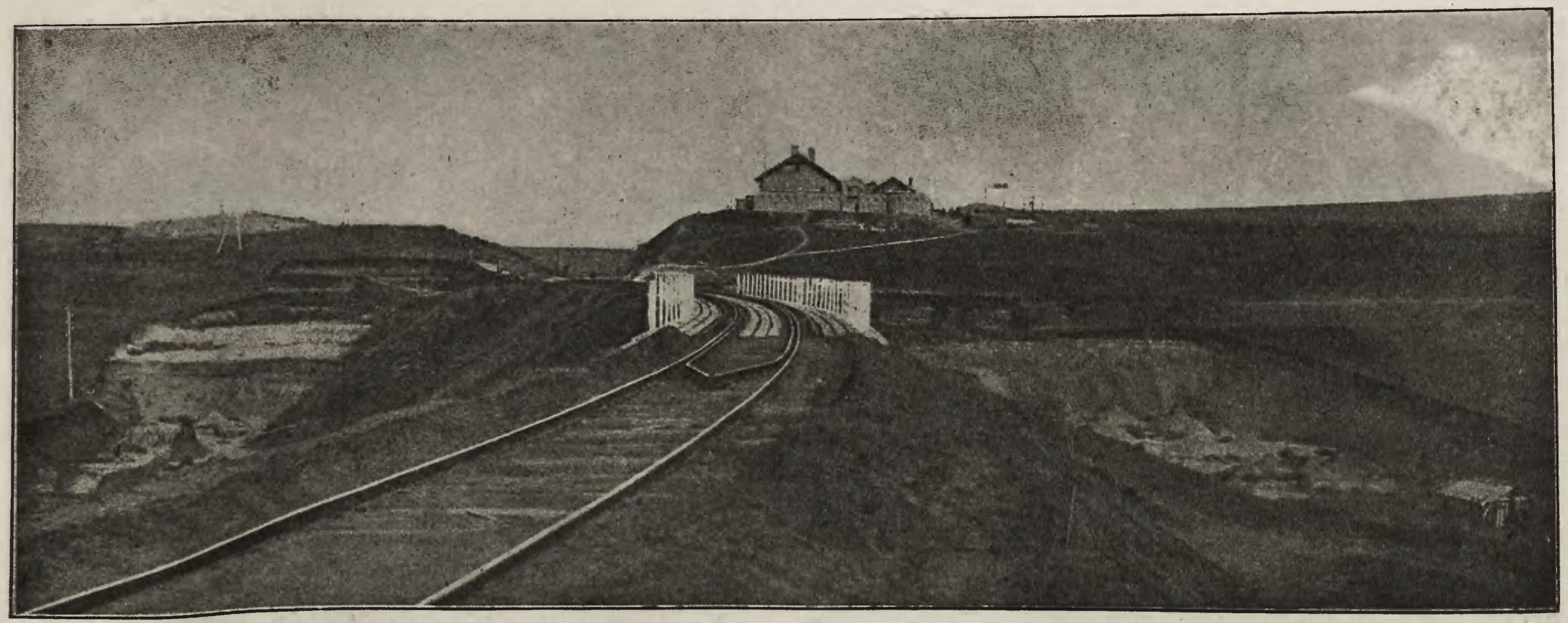
Przed niedawnym jeszcze czasem poważniejsze grono artystów podniosło publicznie, że największym brakiem w życiu artystycznem Paryża jest: brak ośrodka. Artyści żyją bez jakiegokolwiek kontaktu z sobą; jeden zna drugiego o tyle tylko, o ile z wystawy może poznać jego twórczość i talent.

A współżycie artystów z sobą wywarłoby z pewnością dodatni wpływ na rozwój sztuki, gdyż istniałaby jakakolwiek atmosfera artystyczna, któraby w codziennym zgiełku życia wielkomiejskiego trudno spotkać. To też chodzi o stworzenie czegoś w rodzaju ogólnego klubu artystycznego, który ma nosić piękną nazwę: I d e a.

Wkładki mają być tak minimalnie niskie, że nawet najuboższy będzie mógł do tego klubu należeć. Każdy artysta obcy, który do Paryża przyjedzie, będzie mógł wejść od razu w środowisko prawdziwie artystyczne, które umożliwi mu studya i da mu to, czego szukają ludzie, przyjeżdżający za granicę na naukę — możność zapoznania się ze wszystkimi kierunkami i prądami sztuki.

Nowej instytucyi należy życzyć pomyślnego rozwoju i rozkwitu w jak najszybszym czasie.

Beta.



Z wojny ros.-jap.: Droga kolei żelaznej prowadząca do Mukdenu.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Kiedy przed dwoma tygodniami jeszcze, wypadki rozgrywające się wewnątrz Rosyi, walka rewolucyjna, prowadzona przez zjednoczoną opozycyę z despotycznym rządem przykuwała naszą uwagę niepodzielnie do siebie, to dziś wypadki wojenne na Dalekim Wschodzie znowu zajęły naczelne miejsce w dziennikach i my znowu z natężoną uwagą śledzimy każdy krok wojsk japońskich, a myśl biegnie tuż za zwycięskimi oddziałami marszałka Oyamy.

Spodziewaliśmy się od dłuższego czasu rozstrzygającej bitwy nad rzeką Szaho, nad którą rozłożyły się dwie potężne armie, stojące naprzeciw siebie w pogotowiu do boju. Walka około Sandepu miała być wstępem do akcyi zaczepnej ze strony Moskali — ale klęska Gripenberga pod Sandepu, uchyliła możliwość powodzenia ofenzywy na całej linii i wojska znów w pozornej zgodzie stały naprzeciw siebie przez pewien czas, dopóki artylerya generała Nodzu nie zamąciła pewnego poranku tego błogiego spokoju i nie rozpoczęła bombardować i zarzucać masami pocisków centrum pozycyj rosyjskich na wzgórzu Putiłowa.

I telegramy doniosły nam o tem, że Japończycy rozpoczęli akcyę zaczepną. W ślad za tą wiadomością, która zeelektryzowała umysły wszystkich, przychodziły w dzień i w noc telegramy, które mówiły o walkach na rozlicznych pozycyach, które mówiły, że wojska japońskie zaatakowały skrzydła rosyjskie i że wykonały ruchy oskrzydlające, by zajść na tyły armii Kuropatkina — i przeciąć linię odwrotu! A to wszystko działo się na takiej masie placówek samodzielnych, rozstawionych na tak rozległej przestrzeni, że na razie trudno się było zoryentować w tem wszystkiem i osądzić dostatecznie ważność tej olbrzymiej bitwy, jaka się toczyła na polach Mandżuryi i trudno było na razie powiedzieć coś zupełnie pewnego o szansach jednej i drugiej strony.

Walka mordercza przyniosła zwycięstwo Japonii na całej linii. Mukden musieli Rosyanie opuścić i w panicznym strachu umykać na północ! A Japończycy postępują w ślad za uciekającymi, by wyzyskać wszystkie następstwa tego olbrzymiego zwycięstwa.

Japońskie oddziały dokonują obecnie nie mniejszych cudów waleczności, niż to miało miejsce w bitwach dawniejszych i przy oblężeniu Portu Artura. Walczą do upadłego, maszerują i ścigają wroga dopóki im tchu staje! I okazują przy każdej sposobności tyle odwagi, tyle bezgranicznego poświęcenia i taką moc i siłę woli w znoszeniu wszelkich trudów, że patrzymy na nich z podziwem i szacunkiem, jakie mamy dla każdego poświęcenia! Ale bo też nie trzeba nam zapominać, że ci sami żołnierze, którzy z taką brawurą znoszą wszelkie trudy wojenne — w wolnych chwilach od walki i dniach oddają się z zamiłowaniem ćwiczeniom gimnastycznym wszelkiego rodzaju, a szczególnie zapasom. Nawet w chwilach, przeznaczonych na odpoczynek, nie zapominają oni o ćwiczeniach i uprawiają je ochoczo, by nie pozwolić zgnuśnieć swemu ciału i swym członkom.

Na jednej z naszych rycin w tym numerze widzimy zapasy żołnierzy japońskich, którzy zrzuciwszy swe mundury i wszelkie odzienie, mocują się z sobą kolejno, ćwicząc w ten sposób ciało, a równocześnie spędzając czas w obozie na miłej rozrywce. Koledzy i oficerowie starsi przypatrują się tym zapasom w obozie, a na twarzach wszystkich znać ogólne zainteresowanie, ożywienie i wesołość. Ta pogoda umysłu nawet w obozie jest bardzo charakterystyczną dla Japończyków i tłómaczy nam ich męstwo i dzielność.



Z wojny ros.-jap.: Wrota prowadzące do grobów cesarzy chińskich w Mukdenie.

To samo widzimy i na drugiej rycinie, przedstawiającej Rosyan w niewoli japońskiej.

Oto oficer japoński, któremu może za godzinę przyjdzie iść do ataku, gdzie go kula czeka, chodzi sobie po obozie i fotografuje zabranych do niewoli żołnierzy rosyjskich.

Przy ognisku grzeją się jeńcy i posilają ugotowaną strawą, racząc się nawet gorzałką, którą im Japończycy przynieśli — i nie mogą zrozumieć, skąd u tych Japończyków taka grzeczność, że ich tak raczą i częstują aż gorzałką! Na twarzach ich znać radość nietajoną, bo wiedzą dobrze, że skoro raz się dostali w ręce japońskie, to im nie grozi już ani głód, ani chłód, a ci, co zostali przemocą zabrani na wojnę, uszczęśliwieni myślą o losie, który ich wybawił z niemiłego obowiązku: umierania za cara! A na to mamy proste wytłómaczenie, znając usposobienie i psychologię Japończyków, że nieprzyjaciół uważają za wroga tak długo, dopóki z nimi walczą! Później uważają go tylko za bliźniego i zachowują się wobec niego tak, jak nakazuje im ich religia, jak nakazują im ich wierzenia i nigdy się nie zdarzyło, by doszły do naszych uszu jakiekolwiek skargi na złe obchodzenie się Japończyków z jeńcami rosyjskimi, owszem, bardzo często z prywatnych listów jeńców, przebywających w Japonii można wyczytać, że opieka jaką ich otaczają, jest staranna i nie mogą się skarżyć na złe z nimi obchodzenie się.

W czasach tych strasznych rzezi na Dalekim



Z wojny ros.-jap.: Pop opatrujący ranę żołnierzowi.



Z wojny ros.-jap.: Zapasy w obozie japońskim, żołnierze japońscy spędzają wolny czas na mocowaniu się, wobec reszty przyglądających się tej rozrywce.

Wschodzie nie jest dla nas rzeczą dziwną i niezrozumiałą, że instynkt samozachowawczy człowieka, kochającego swe życie, choćby ono było najgorszem, nie dba o pozory takie, jak honor żołnierski i chwyta się wszelkich środków, by ocalić swe życie, by uniknąć śmierci, która tam grozi prawie każdemu! Życie obozowe marne pod każdym względem, nie dające pewności, że jutro człowiek nie umrze z głodu lub mrozu, musi studzić wszelki patryotyzm, o ileby on nawet istniał! Każdy dzień świta krwawo i posępnie, witany z niechęcią — a noc jest jeszcze okropniejszą, gdyż śmierć nocą straszniej zagląda w oczy! Wszystkie największe ataki, zasadzki i walki najkrwawsze odbywają się nocą, gdyż ciemność jest



Z wojny ros.-jap.: Jeńcy rosyjscy w obozie japońskim. Oficer japoński fotografuje jeńców rosyjskich.



Z wojny ros.-jap.: Oficerowie na stacyi kolejowej otrzymują wiadomość o pojawieniu się Japończyków w pobliżu toru kolejowego.

najlepszą osłoną dla nacierających i bijących! Najważniejszym momentem w bitwie obecnej pod Mukdenem, było dotarcie wojsk japońskich do toru kolejowego, którego zburzenie choćby częściowe zamykało już drogę powrotną Kuropatkinowi. To też w tym celu armia generała Noghi, która stała już na tyłach armii rosyjskiej po zachodniej stronie Mukdenu, robiła wysiłki najmożliwsze, by rozpędzić stojące tam na straży silne dość rezerwy rosyjskie i zamknąć drogę powrotną całej armii. Znajdując się tuż przy torze kolejowym działała ona niepokojąco i najbardziej denerwująco na cały sztab wojenny Kuropatkina, który postanowił wcześniej niż inni skorzystać z tego, że tor kolejowy jest jeszcze wolny i przeniósł się wraz ze swym pociągiem co prędzej do Tienlinu! Wszystkie stacye kolejowe są obsadzone silnymi oddziałami wojska, bo nie wiadomo, kiedy Japończycy mogą uderzyć. Co chwila na stacye między Mukdenem a Tienlinem przychodziły wiadomości niepokojące o zbliżaniu się Japończyków! Oczekiwano w niepokoju nocami ich ataku na tor kolejowy i przez kilka dni żyli wszyscy w tym denerwującem naprężeniu i oczekiwaniu!

A tymczasem masy wojsk wycofane z pola walki, cofały się w panicznej ucieczce ku Tienlinowi, uchodząc z pułapki, jaką na nich zastawili Japończycy. Straty przy cofaniu się były olbrzymie, bo wojska japońskie nacierały z tyłu i energicznie następowały na pięty Kuropatkinowi. Straty te muszą być olbrzymie, szczególniej u Rosyan — i jak już dziś przypuszczają, będą one większe, niż po bitwie pod Liaojanem.



Z wojny ros.-jap.: Obóz rosyjski w nocy.



Paulina Wojnowska.

Migawki teatralne.

Dar komizmu — to jeden z najcenniejszych i najrzadszych darów scenicznych. Prawdziwie wielkich, dobrych komików niewielu może polska scena wykazać. O wiele jednak rzadszym jeszcze jest ten przyrodzony dar u kobiet. Jedyną klasyczną przedstawicielką komizmu polskiego — jest bezsprzecznie Paulina Wojnowska. Słusznie też nazywają ją „Żółkowskim w spódnicy“, zajmuje bowiem Wojnowska to samo stanowisko wśród artystek, które nieśmiertelny Żółkowski zajmował przed laty wśród swoich kolegów.

Niezbadane są jednak drogi, którymi chodzą wielkie talenty! Czy dzisiaj — widząc znakomitą, „charakterystyczną“ teatru lwowskiego — mógłby kto niewtajemniczony — przypuścić, że ta sama osoba przed 30 laty, jako młoda, pełna szyku i uroku subretka — była jedną z atrakcyi operetkowych?

Paulina Wojnowska rozpoczęła zawód sceniczny w 1869 roku na lwowskiej scenie, zostającej wówczas pod kierunkiem Adama Miłaszewskiego. Jako młodziutkie dziewczę, podlotek prawie, wykazała Wojnowska już w pierwszych występach scenicznych — wysokie uzdolnienie, temperament i „nerw sceniczny“, co wówczas przy jej urodzie — pozwalało młodej debiutantce stawiać jak najlepsze horoskopy na przyszłość. Horoskopy te nie zawiodły. Niezwykłe takie zjawisko sceniczne zwróciło niebawem uwagę pierwszorzędnego znawcy sztuki, a ówczesnego dyrektora teatru — Stanisława Koźmiana.

W r. 1872 przybywa Wojnowska na krakowską scenę. Długi jednak czas pracowała wyłącznie prawie w dziale ról śpiewnych i subretek, zanim potężny dziś jej talent — skrystalizował się ostatecznie — i wybrał sobie właściwą drogę. Wojnowska przerzuciła się do ról charakterystycznych i komicznych, i od razu wzięła przebojem ze sceny publiczność i prasę. Od tego czasu stała się Wojnowska ulubienicą i faworytką publiczności. Każdorazowe pojawienie się jej na scenie, jest hasłem do wybuchów wesołości i oklasków audytoryum. Bo też w swoim zakresie ról — nie ma sobie równej. Czy ją widzimy w komedyach Bałuckiego, czy w francuskich melo-dramatach, czy wreście w ludowych sztukach Anczyca lub Staszczyka — zdumiewać się musimy jej niewyczerpanym zapasem humoru, naturalnością i brawurą, w każdej sztuce, w każdej scenie niemal.

Przed kilku laty w Krakowie — za dyrekcyi p. Pawlikowskiego, obchodziła znakomita artystka 30-letni jubileusz scenicznej pracy. Całe obywatelstwo i kwiat inteligencyi złączyły się w uczczeniu zasług Wojnowskiej, a wszystkie polskie dzienniki zamieściły nader pochlebną ocenę działalności artystki.

Kraków utracił wprawdzie Wojnowską, która za Pawlikowskim powędrowała na lwowską scenę. Jest jednak niepłonna nadzieja, że p. Paulina — ze zmianą stosunków w naszym teatrze — powróci znowu do scenicznej pracy w ojczystem mieście, skąd, zniechęcona przykrymi stosunkami z dyrekcyą, brakiem uznania i wdzięczności ze strony kierownictwa teatru — udała się na dobrowolne wygnanie, jak zresztą wielu, wielu dobrych innych artystów, których obecna dyrekcya ze względów oszczędności poprostu wygryzła.

KRONIKA LWOWSKA.

(Kobiety w służbie miejskiej. — Senzacyjne aresztowanie. — Ijola w teatrze. — Znużone latarnie. — Charlotta Viehé. — Policya. — Dzienniki jako reklama dla złodzieja. — Słówko o przyjaźni z Rosyą).

Podczas gdy nasz prezydent dr. Godzimir Małachowski korzysta godnie z urlopu i reformuje w parlamencie wiedeńskim ustawę przemysłową, my tu w radzie miejskiej robimy nadzwyczajne postępy i na wniosek jednego z radnych — przejdzie zdaje się — uchwała rady, na podstawie której przyjmować się będzie odtąd kobiety do służby magistrackiej. Pierwszeństwo mieć będą córki i wdowy podupadłych obywateli lwowskich i urzędników zajętych w służbie miejskiej. Gdy się zważy, że na sto tysięcy obywateli lwowskich przypada przynajmniej 99 tysięcy podupadłych, musi się przyznać że dla tysięcy kobiet otwiera się obecnie piękne pole zarobku, jeżeli oczywiście znajdzie się w magistracie lwowskim tyle posad i tyle roboty. Nowość ta tyle sprawiła, że kilkanaście rozwiniętych córek podupadłych obywateli lwowskich porzuciło już swoich narzeczonych i kandydatów na narzeczonych, zdobytych w ubiegłym karnawale, i przygotowuje się do służby magistrackiej na seryo.

W związku z tem pozostaje senzacyjne aresztowanie pewnej czarownicy czy kabalarki, córki podupadłego obywatela lwowskiego, która innym córkom podupadłych obywateli pomagała światłą radą i cudownymi lekami w zdobywaniu chłopców, odpędzaniu szatana i innych kobiecych potrzebach.

Panna Apolonia Juszczakówna — tak nazywa się czarodziejka — nie mogła doczekać się uchwały rady miejskiej w sprawie przyjmowania kobiet i wyszukała sobie — przygotowując się zarazem do służby miejskiej — inne źródło zarobku. Oto wiedząc, że w magistracie lwowskim trzeba przedewszystkiem być czarodziejem, magikiem, prestidigitatorem, zabrała się na dobre do roboty, wynajęła sobie atelier przy ulicy Kazimierzowskiej l. 12 i tu przyjmowała swoje pacyentki. Sprzedawała rozmaite mikstury i napoje, smarowidła i bandaże, a środki te były niezawodnie skuteczne, skoro klientela panny Apolonii z każdym dniem rosła, jak w lombardzie przed pierwszym. Mimo błogich skutków tej praktyki policya tutejsza zamknęła zakład p. Apolonii twierdząc, że na takie praktyki czas później t. j. po wstąpieniu do służby miejskiej, a samą czarodziejkę osadziła w aresztach policyjnych, skąd odstawioną być ma do sądu. Ot, zwykła zawiść ludzka.

O wiele ciekawszym był ubiegły tydzień w teatrze miejskim, gdzie wystawiono premierę Żuławskiego pt. „Ijola“, dramat, poświęcony pani Irenie Solskiej. Piękny dramat wywołał nadzwyczajne wrażenie dodatnie, ale jest tak długi, że znużył nietylko niecierpliwą część publiczności, policyę, bileterów i portyera, ale nawet dwie latarnie stojące przed teatrem. Obie latarnie, na godzinę przed końcem przedstawienia, zgasły, czem wywołały interpelacyę radnego p. Czarneckiego w radzie miejskiej i wyczerpującą odpowiedź I. wiceprezydenta p. Michała Michalskiego, tej mniej więcej treści, że latarnie nie były przygotowane na tak długi spektakl, a nie otrzymawszy żadnego aktu w tej sprawie ze strony komisyi artystycznej, powodowane nadto znaną punktualnością, zgasły o zwykłej porze, lecz na przyszłość przyrzekają robić wyjątek dla p. Żuławskiego, Ijoli i Czarneckiego i prolongować swoje funcye aż po za dwunastą.

Drugą nowością w teatrze jest występ p. Charlotty Viehé z trupą francuską we środę 15 b. m. Teatr był wysprzedany, wszystkie francuskie słowniki w księgarniach również, programy również — przedstawienia nie zrozumiał dobrze nikt, chociaż wszyscy obecni na przedstawieniu giestami dawali do poznania, że rozumieją... Nazajutrz opowiadano sobie, z zachwytem o świetnym talencie p. Viehé. Najbardziej irytował się obecny w teatrze komisarz policyi, który w pocie czoła starał się zrozumieć polityczną stronę spektaklu, której swoją drogą wcale nie było...

Wogóle policya nasza tak bardzo zajęta jest polityką, zgromadzeniami i obchodami narodowymi, że nasi P. T. złodzieje związali się w tajny związek polityczny, mający na celu rozdmuchiwanie życia politycznego, ażeby zająć całą policyę i uwolnić się od kontroli swoich zawodowych czynności. Złodziejami opiekują się wyłącznie dzienniki, które o każdym ich występie przynoszą pochlebne, dowcipne wzmianki, prawie panegiryki wychwalające ich spryt, dowcip, rozum, zdolności, słowem wszystko, co jest potrzebne, żeby być porządnym złodziejem.

Prócz tego zajmują się dzienniki obecnie pogromem Kuropatkina, który we Lwowie wywarł kolosalne wrażenie i wywołał żywe współczucie, jako w siedzibie p. Pustoszkina, zastępcy zaprzyjaźnionego mocarstwa. Ze wzruszeniem wspominają przy tej sposobności patryoci austryacko-lwowscy niezbite dowody gorącej przyjaźni, jaką nam nasz sąsiad okazywał w ostatnich latach, używając zawsze jako pośredników, tej przyjaźni naszych własnych w urzędowych szematyzmach figurujących obywateli. A więc Hekajło, który dla nas jest tak drogim zadatkiem miłości rosyjskiej, że rząd nie wahał się kilkadziesiąt tysięcy wydać, ażeby zachować żywy okaz przymierza broni obu mocarstw. A więc kapitan Bartmann, który narazie kosztuje nas siedm lat twierdzy, a więc Ossoliński, który zadzierzgnął serdeczne węzły przyjaźni między oboma krajami, aby potem po trudach i pracy przez rok odpoczywać na koszt rządu austryackiego, a nawet zwykły feldwebel Bodnar zrozumiał te cenne arkana niebotycznej przyjaźni rosyjsko-austryackiej i z niebywałem poświęceniem włamał się do kryjówki planów mobilizacyjnych, aby je oddać w przechowanie sztabowi petersburskiemu i tak je zachować przed zagładą japońską. Gdyby biurokrata chciał w sposób prozaiczny rozmienić na walutę austryacką, ile przyjaźń ta pociągnęła za sobą pieniędzy podatkowych, potrzebnych na przebudowanie zdradzonych fortów, na przerobienie „zwarowanych“ planów mobilizacyjnych i na schwytanie „rajzujących“ po Galicyi „korespondentów wojennych“ oraz na sprowadzenie emigrantów *a la* Hekajło z kraju Kolumba, to deficyt miasta Lwowa nie starczyłby na pokrycie, a poduszki wszystkich żydów i chłopów galicyjskich musiałyby pójść pod bęben i trąbę, aby pokryć odsetki. Jeżeli więc przysłowie mówi „*kleine Geschänke erhalten die Freundschaft*“ o ileż większą jest nasza przyjaźń do zaprzyjaźnionego mocarstwa, która opiera się na barkach pułkowników, kapitanów i feldweblów, wyżej wymienionych, a której kitem pieniądze podatkowe na okupienie i utrwalenie tej przyjaźni wydane. To też ludek nasz czuje, że „ich zwycięstwo, to nasze zwycięstwo, a ich klęska, to nasza klęska“ i woła do Kuropatkina: *vivat sequens!*

Niemniej niepokoją nas wieści o zamachach samobójczych Kuropatkina i rozchwytujemy nadzwyczajne dodatki do dzienników po 2 hal.

Kącik humorystyczny.

Najpiękniejszy dźwięk.

— Czy twoja narzeczona jest muzykalna?

— Zdaje mi się, że nie, ale ojciec cały dzień brzdąka złotem!

Połowa prawdy.

— Ojcze, wójek powiedział że na całym świecie żyje półtora miliarda ludzi.

— Wujaszek powiedział? To niezawodnie połowa tylko w tem prawdy.

Z życia.

Lekarz:

— Przecież zabroniłem panu palenia.

Chory:

— Tem lepiej smakuje, panie doktorze!

Po weselu.

— Powiedz mi, czy Anusia chodzi jeszcze ze swoim Karolem?

— Nie, on chodzi teraz z nią.

Przesyt.

Wojtek (zjadłszy duży kawał kiełbasy):

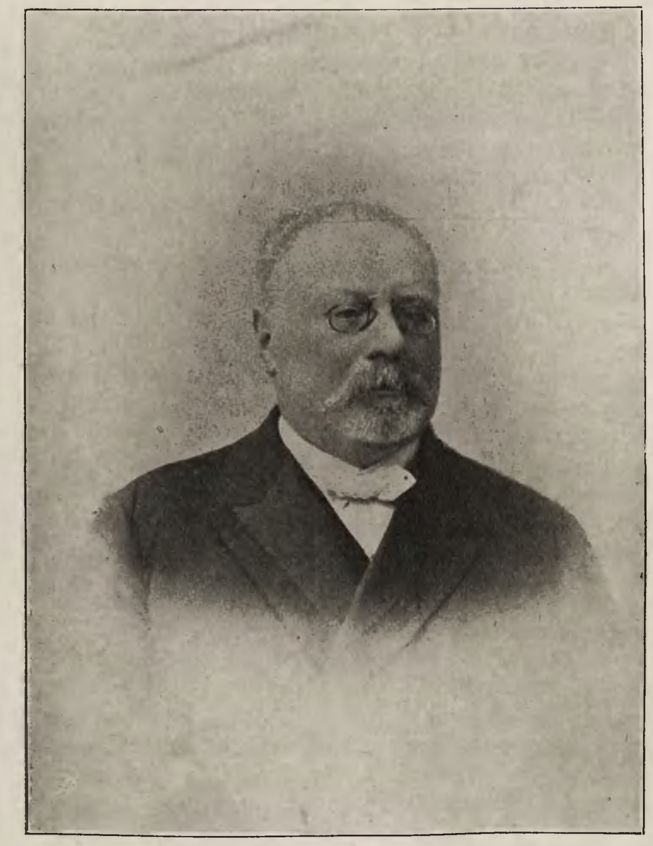
— Ojciec! Już teraz nie mogę więcej, ino copatrzeć — pęknie mi dusza.

Zygmunt Noskowski.

Jeden z największych w narodzie, jako jego chluba i duma. Artysta co dzierży sztandar sztuki wysoko, a pracuje dla chwały muzyki polskiej szczerze i owocnie.

Działalność Noskowskiego jest w muzyce polskiej tak obfitą i tak wielostronną, iż niepodobna przedstawić jej w krótkiej notatce, zaś olbrzymi szereg dzieł pierwszorzędnej wartości, wystarczyłby na spory artykuł, gdyby się podało tylko ich tytuły. Biografię Noskowskiego można streścić tak: Urodził się w Warszawie 8 maja 1846 r. Po ukończeniu gimnazyum wstąpił do konserwatoryum warszawskiego, które jako laureat (skrzypce) ukończył w r. 1867. W harmonii i kontrapunkcie jest uczniem Stanisława Moniuszki. Dalsze studya odbywał w Berlinie i ukończył je jako wyborny kontrapunkcista.

Na polecenie Kiela zawezwano Noskowskiego do objęcia stanowiska dyrektora Towarzystwa śpiewackiego „Bodan“ w Konstancyi, gdzie energią i sprężystością, jakoteż umiejętnem kierownictwem powierzonej mu rzeszy muzycznej, zyskał sobie sympatyę i uznanie Niemców. W r. 1881 przeniósł się Noskowski do Warszawy, gdzie objął miejsce dyrektora Tow. Muzycznego po Władysławie Żeleńskim. Odtąd zamieszkuje stale w Warszawie, dzierżąc niepodzielnie najwyższe stanowisko w muzycznej hierarchii Warszawy i wspierając swą ruchliwą i w muzyce wszechstronną pracą Filharmonię Warszawską.



Jako kompozytor zajmuje najpoczestniejsze miejsce w Panteonie muzyków współczesnych polskich, a jedno z najwybitniejszych wśród muzyków europejskich. Kompozycye jego, pełne szerokiej i natchnionej inwencyi, odznaczają się szlachetnością pomysłów, prostotą formy i głębokiem natchnieniem. Nic w nich banalnego, nic — coby trąciło naśladownictwem, nic z reminescencyj.

Noskowski jest może jedynym muzykiem polskim, który technikę kompozytorską doprowadził do niedoścignionej łatwości, z jaką swe pomysły harmoniczne i kontrapunktyczne wyraża. Zawdzięcza on to niewątpliwie twardej szkole niemieckiej, w której przedmiot ten traktowano wprawdzie sucho i pedantycznie, nie mniej jednak gruntownie i z całą surową powagą. Dla powierzchownie wszystko biorącej konstytucyi nerwów słowiańskich, przejście takiej szkoły jest, jak widzimy, rzeczą nader zbawienną. Noskowski mimo sędziwego wieku i mimo długiego szeregu dzieł o wybitnej, a co do niektórych w wartości swej nieprześcignionej przez żadnego polskiego kompozytora, — nie ustaje w pracy twórczej. Z pod pióra znakomitego artysty wychodzą dzieła wielkie potęgą włożonego w nie natchnienia płomiennego, dzieła wielkie opracowaniem muzycznem, opartem na kolosalnej wiedzy i doświadczeniu, dzieła zadziwiające rozmachem i siłą.

Noskowski posiada w swym dorobku twórczym kilka oper, z których ostatnią „Wyrok“ wystawi niebawem opera warszawska, suity orkiestralne, symfonie, uwertury, dzieła na orkiestrę symfoniczną większych rozmiarów, kwartety smyczkowe, tria, wielkie dzieła na chóry, sola i orkiestrę, kantaty, kompozycye choralne i fortepianowe, a nadto nieprzebraną ilość pieśni o melodyach wybitnych, a w opracowaniu zajmujących. Dość wymienić tu ulubionego i powszechnie śpiewanego krakowiaka „Skowroneczek śpiewa“ lub „Stacha“ do słów Konopnickiej.

Poza sferą kompozycyi ważną jest dla rozwoju muzyki polskiej jego praca pedagogiczna, pełna poważnych wyników. Noskowski dał Polsce cały szereg muzyków zajmujących już dziś wybitne stanowiska w świecie kompozytorskim. Dość wymienić nazwiska Rutkowskiego, Maszyńskiego, Rzepki, Pankiewicza, Romaszki, Melcera, Statkowskiego, Karłowicza, Starczewskiego, Joteyki i t. d., nazwiska przynoszące chlubę muzyce polskiej współczesnej. Żaden z wybitniejszych polskich pedagogów muzycznych nie może się poszczycić tak poważnym szeregiem uczni zarówno wykształconych jak utalentowanych. Według opinii muzycznej jest obecnie Noskowski nie tylko najwybitniejszym z kontrapunkcistów polskich, lecz jednym z najznakomitszych kontrapunkcistów europejskich. Kompozycye Noskowskiego królują w salach koncertowych polskich a także i zagranicznych.

Ponadto znajduje ruchliwa twórczość Noskowskiego upust także w pracy literackiej, w postaci sprawozdań, referatów, polemik, studyów i odczytów, pomieszczanych zarówno w prasie warszawskiej jak i naszej. Ostatnio wypowiedział Noskowski w Filharmonii warszawskiej szereg pogadanek „Głos ludzki w muzyce“, przebiegając w nich dzieje tego najwspanialszego czynnika muzycznego w ciągu całego rozwoju muzyki.

O zaproszeniu znakomitego prelegenta do Krakowa nikt u nas nie raczył pomyśleć, a przecież w olbrzymim szeregu odczytów i prelekcyi wygłaszanych w Krakowie z zakresu najrozmaitszych dziedzin, powinnoby się uwzględnić także i muzykę. Sędziwemu mistrzowi warszawskiemu życzymy sił do dalszej twórczości. *Stab.*

KREW CYGAŃSKA

NAPISAŁ
E. VEZZARO.

1

Było to w Budapeszcie, gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy. Przyjechały z Paryża, a afisze obwieszczały obie siostry: Wandę i Alicyę Abrany, jako najlepsze w świecie akrobatki na trapezie.

Sam znałem oddawna nazwisko sióstr Abrany, a rozgłos i sława ich wzbudziła i we mnie ciekawość i nie byłem jedynym, który oczekiwał występu nowych koleżanek z natężoną ciekawością.

Obie miały być bardzo piękne i tak do siebie podobne, że je trudno naprawdę było od siebie odróżnić.

Podawały się za bliźniaczki.

Ale nie tylko my artyści oczekiwaliśmy występu głośnych sióstr z naprężeniem, ale i publiczność, która cisnęła się i gromadziła koło afiszów, a to zainteresowanie pochodziło nie z przyglądania się olbrzymim i jaskrawym afiszom, przedstawiających produkcye artystek, ale przedewszystkiem z tego powodu, że były one pochodzenia węgierskiego, a więc współrodaczkami.

Dzienniki robiły reklamę na swoją rękę i dlatego nie należało się dziwić, że wieczorem przed ich pierwszym występem kasa była w istnem oblężeniu, a wielki cyrk Simoniego wypełniony aż do ostatniego miejsca niespokojną i pełną nerwowego oczekiwania publicznością.

I prawdziwie! Ćwiczenia obu nadobnych sióstr przewyższały wszystko, co dotychczas możliwem było do osiągnięcia, a oklaski, pod koniec ich produkcyi, przemieniły się w nieopanowany entuzyazm.

Stałem w przejściu do menaży, a obok mnie w pierwszym rzędzie siedział młody człowiek, który na pierwszy rzut oka zdradzał się ze swem rosyjskiem pochodzeniem. Był zachwycony i rozogniony i zauważyłem, że Wanda Abrany ku niemu skierowała parę razy swoje płomienne spojrzenia.

— Aha – pomyślałem sobie — to musi być jeden z tych wiernych jej wielbicieli, który towarzyszy artystkom od miasta do miasta, okazuje się w każdym wypadku wspaniałomyślnym i dlatego jest na ogół bardzo lubianym.

Przedstawienie miało się ku końcowi i obie z radośnie rozpromienionem obliczem pobiegły przez wejście do menaży. Podczas gdy Alicya podążyła natychmiast do swej garderoby, Wanda zatrzymała się na jeden moment, żeby odebrać wspaniały bukiet kwiatów, który jej ofiarował ów Rosyanin. Przytem ukłonił się jej głęboko i szepnął jej coś do ucha.

— Ach! jesteś hrabio nieubłaganym! Jestem znużoną i chcę odpocząć — mówiła Wanda niechętnie.

— Wanda! — błagał rozpaczliwie — nie teraz lecz później! Chciałbym się z tobą zobaczyć na jedną minutę, gdyż chcę...

— Dobrze! Dobrze! Powiedzmy więc o jedenastej w kawiarni Hunyadi'ego,

Wanda zaśmiała się i odbiegła.

On popatrzył za nią tęsknym wzrokiem i wkrótce opuścił cyrk.

Zdawało mi się, że jest naprawdę w małej Abrany zakochany, no, a do tego był hrabią, posiadał prawdopodobnie wielki majątek — a Wanda, jeśliby była mądrą, mogłaby zostać hrabiną Nendikowową. Taka myśl przyszła mi do głowy, przyglądając im się obojgu. Ale czy to tylko możliwe?

Z zasady życzę każdej koleżance, żeby, jeśli ma szczęście, zrobiła jak najlepszą partyę, gdyż wtedy jest przynajmniej bez kłopotu o chleb codzienny, gdyż długo u dziewcząt nie trwa okres karyery artystycznej, prędko bowiem tracą one swą piękność, wdzięk, albo przy nieszczęśliwym wypadku zdrowie a nawet życie.

Myślałem jeszcze o Wandzie Abrany i o jej hrabczyku idąc do menaży, gdy nagle stanąłem jak wryty, zobaczywszy dziewczynę z innym mężczyzną rozmawiającą z zajęciem.

Nie dlatego zdziwiłem się, żeby Wanda nie miała prawa oprócz hrabiego posiadać i innych wielbicieli, lecz dlatego, że znałem tego pana, jako jednego z najbogatszych i najdumniejszych ludzi w Budapeszcie, który uważał za nieodpowiednie dla siebie wogóle, utrzymywanie stosunków z artystkami cyrkowemi, a do nas przychodził tylko dlatego, że kilka swych koni oddał dyrektorowi cyrku do tresury.

Baron Fejerhazy — tak się nazywał — nie był wcale już młodym; jego śniegiem przyprószone włosy, zmarszczkami okryte oblicze, kazały przypuszczać, że ma najmniej ze 60 lat. Nie wiedziałem, czego on mógł chcieć od Wandy Abrany!?

Rozmawiał z widocznem ożywieniem, tak, że nie zauważył mnie wcale.

— A więc pochodzi pani z Temeszwaru — pytał jej.

— Tak jest, panie baronie! Ale co znaczą te pytania i skąd to zainteresowanie się pana mną?

Baron odetchnął głęboko, namyślał się długo i w końcu począł prosić drżącym głosem:

— Niech mi pani pozwoli ze sobą pomówić, gdyż rozchodzi się tu o kwestyę życia, o panią i o szczęście innych, panno Abrany! Czy może mi pani pokazać swe papiery i dokumenta.

Wanda nie namyślając się ani przez chwilę, naznaczyła mu czas i hotel, do którego miał zajść.

Baron był wzruszony i patrzał na nią długo, a w końcu podał jej rękę na pożegnanie.

Wiedziałem, że w tem wszystkiem ukrywa się jakaś tajemnicza sprawa i byłem ciekawy, czy potrafię się czegoś o niej dowiedzieć, czy nie.

Nie była to wcale zwykła ciekawość, która kazała mi wyszukać służącego barona!

Znałem go dobrze, bo często przychodził do koni barona i zachodził do menaży. Chciałem z nim rozmówić się — a pobudzało mię do tego zwyczajne współczucie, które każdy z nas artystów ma dla losu swego kolegi i współtowarzysza!

Znalazłem starego Istwana w naszej kantynie; wydał mi się dziś zupełnie innym, niż kiedyindziej, był poważnym – a gdy wspomniałem o Wandzie Abrany, wdał się chętnie ze mną w rozmowę. Od niego dowiedziałem się także, że baron Fejerhazy posiadał olbrzymie dobra nad Aradem. Był podobno bardzo szczęśliwym w pożyciu małżeńskiem, a szczególnie, gdy mu żona powiła córkę, która nosiła imię Wandy. Dziecko to zostało skradzionem z zamku w rok po przyjściu na świat i mimo wszystkich poszukiwań nie zdołano go odnaleźć i nikt nic o niem dotychczas nie słyszał. C. d. n.



Miłość z przeszkodami

czyli

rzecz o różach i kiełbasie.

(Humoreska).

2 (Dokończenie).

Z zaciekawieniem i niecierpliwością otworzył go. List ten brzmiał jak następuje:

„Kochany Panie Arturze!

Z serdeczną wdzięcznością i podziękowaniem potwierdzam odbiór Pańskiej przesyłki; Pańska pamięć ucieszyła nas bardzo. Moje córeczki: Minia, Linia i Tynia wsadziły sobie we włosy Pańskie najpiękniejsze róże. Moja najmłodsza pieszczotka: Lwinia (pan wie jakie to naiwne dziecko) — schowała dla siebie butonierkę kochanego ofiarodawcy. Dlatego nie zwlekaj Pan z łaskawem swem przybyciem i zajrzyj do nas wieczorem na herbatkę. Proszę o to w imieniu mojem jak i moich córek, a zwłaszcza najmłodszej Lwini, która znacząco krząka, wymawiając Twoje imię!..

A za tem do widzenia

Augusta Zawracalska

Wdowa po pensyonowanym radcy rachunkowym i kawalerze orderów."

p. s. Słyszałam od jednego pana, że spóźniłeś się wczoraj na pociąg, nieszczęśliwcze! Apropos!.. Powierzonego Panu na kolei pakiecika potrzebujemy koniecznie. Jest w nim mianowicie funt kiełbasy, którą wyjątkowo tanio udało mi się kupić na wycieczce. Niech pan nie zapomni przynieść jej dzisiaj, skonsumujemy ją wspólnie do herbaty"!..

Pan Artur rzucił z pasyą list na ziemię.

— Co za kiełbasa? co za róże? Czego te baby chcą odemnie?!..

Nagle uderzył się w czoło i wydał okrzyk rozpaczy.

— Wiem już — zawołał — ja osioł głupi zamieniłem paczki i niewłaściwe adresy na nich umieściłem. Róże należały do Mani i te otrzymały Zawracalskie, a kiełbasa... Boże! ja Mani kiełbasę posłałem!..

Przyszedłszy do tego strasznego przekonania, przebrał się coprędzej w garnitur wizytowy, wybiegł, jak szalony z domu, wskoczył do dryndy i kazał się wieźć do narzeczonej.

Osobiście musi tę pomyłkę wyjaśnić i przeprosić panie za mimowolną obrazę.

Długo jednak czekał w saloniku, zanim ukazała mu się czcigodna postać damy z osłabionym słuchem. Twarz jej miała wyraz bolesnego rozczarowania i nietajonej obrazy.

Pan Artur spostrzegł tą zmianę, postanowił sobie jednak wytłomaczyć całą aferę z punktu humorystycznego.

— W jakie to człowiek wpada ambarasy — zaczął trzpiotowato.

— Kiełbasy? — zapytała głucha dama, sznurując usta i kryguiąc swą chudą figurę.

— Ach! ta kiełbasa! — zawołał znowu z udaną wesołością młodzieniec — spostrzegłem dopiero pomyłkę z rana...

— Siekana? — zauważyła boleśnie dama — mój panie siekana, czy krajana, nie zmienia to postaci rzeczy. Panie, jesteśmy kobietani przyzwoitemi i nie przyjmujemy od obcych ludzi podarunków choćby to była nawet tak chwalona przez pana siekana kiełbasa dodała, nie hamując swego oburzenia.

— Ależ łaskawa pani! — krzyknął jej młodzieniec, do ucha.

— Dla Mani? dla Mani? — przedrzeźniała ciotka. Mój panie! jestem wiekową kobietą i pamiętam dawne czasy. Wierzaj mi, że za moich czasów młody człowiek, bywając w domu, gdzie jest młoda panna, nie ośmieliłby się przesyłać jej żadnych prezencików, nie mówiąc już o czemś tak ordynarnem, jak siekana kiełbasa!..

— Panie Arturze! nie spodziewałam się podobnej zniewagi po panu! — zawołała ze łzami Mania, wchodząc do saloniku.

— Ależ łaskawe panie! — krzyknął młodzieniec przestraszony nie na żarty takim obrotem rzeczy — pozwólcie mi się wytłómaczyć!.. A przedewszystkiem gdzie jest ta kiełbasa

— Dałam ją do kuchni — odrzekła z godnością panienka — i jeżeli Marynia nie zjadła...

— Czy pani przypuszcza, że służąca mogła ją zjeść—zapytał cokolwiek niespokojnie pan Artur.

— Dowiemy się zaraz! — odparła lodowatym tonem Mania i zadzwoniła.

W progu zjawiła się dziewczyna.

— Marysiu! — rozkazała ciotka — podaj tu kiełbasę.

— Z chrzanem, czy z musztardą? — zapytała służąca.

— Nie! nie!.. podaj tak, jak jest — na papierze.

Służąca zrobiła wielkie oczy i po chwili wróciła, niosąc w jednej ręce serwetę — w drugiej dzierżąc ostrożnie papier z pokrajaną w cieniutkie plasterki kiełbasą.

— Czy herbatę zrobic? — zapytała, zaścielając obrus i patrząc ze zdumieniem po obecnych. Widelce zaraz przyniosę!..

— Nie potrzeba widelców, ani tego obrusa — zawołała z irytacją panienka. — Pocoś ty przedewszystkiem tę kiełbasę krajała?

— A jakżeż państwo jeść chcieli? Przez obrusa i przez muśtardy, niepokrajaną — palicami?

— To kiełbasa nie do jedzenia!.. To jest własność tego pana, zawiń ją i oddaj mu!..

Marysia przeżegnała się pobożnie, ale zabrała obrus i kiełbasę z papierem i wyszła.

Pan Artur mimowoli się uśmiechnął.

— Pani! ja tej kiełbasy przyjąć nie mogę!..— zauważył ironicznie.

— I dlaczegóż to? — spytała panna dumnie. niech się pan nie boi, Marysia ma czyste palce!.. i gdy my jej się nie brzydzimy...

— Tak — odparł spokojnie młodzieniec — ale pani radczyni Zawracalska nic nie wie o tej chwalebnej zalecie Marysi i dziwiłaby się bardzo, gdybym jej zwrócił kiełbasę pokrajaną, gdy wczoraj w całości powierzyła mi ją do potrzymania na stacyi.

— Pani Zawracalska? — spytały zdziwione panie.

— Nieinaczej.

Tu wreszcie młodzieńcowi udało się przyjść do głosu i opowiedział szczegółowo swoje opóźnienie na pociąg i całą pomyłkę.

Mania uśmiała się serdecznie — śmiała się nawet głucha ciotka, choć tylko piąte przez dziesiąte rozumiała o co rzecz chodzi. Panienka skwitowała nawet z odbioru róż od pań Zawracalskich.

Zadzwoniła na służącą.

— I cóż jest z tą kiełbasą? — spytała dusząc się od śmiechu.

— Kiej państwo tak wydziwiają, dałam kiełbasę dziadowi.

— I cóż pan teraz powie pani radczyni? — zaśmiała się Mania wesoło.

— Nic jej nie powiem, a raczej co mam powiedzieć, napiszę! — rzekł pan Artur. — Poczekajno, Marysiu!.. oddasz ten bilet posłańcowi.

Wyciągnął swój bilet z pugilaresu, usiadł przy biurku i wspólnie z pan'enką zredagował go jak następuje:

„Szanowna Pani!..

Padliśmy wszyscy ofiarą pomyłki. Kwiaty otrzymane przez Panią nie należały do mnie. Co do kiełbasy muszę z przykrością donieść, że zjadł ją przypadkowo dziad. Z przyjemnych zaprosin na wieczór — korzystać nie mogę — jestem już bowiem zaproszony..."

— I czegóż pan nie piszesz? — zapytała Mania, patrząc mu przez ramię.

— Bo niewiem, jak pisać, a raczej czy wolno tak napisać jak chcę: „bo jestem na dziś zaproszony — do mojej narzeczonej" — dodał ciszej, patrząc z zachwytem w oczka dziewczęcia.

— Napisz pan! — szepnęła cichutko, spłonąwszy cała jak róża — tylko cioci nic jeszcze nie mówić, aż...

— Aż kiedy?

— Aż wieczór.

List został wysłany i pan Artur, ucałowawszy rączki obydwóch dam i obiecawszy stawić się wieczorem na herbatę — pełen najsłodszych nadziei, pobiegł do biura.

Stara dama miała jednak jeszcze pewne wątpliwości, co do sposobu myślenia młodego człowieka i po jego wyjściu zapytała niespokojnie siostrzenicy:

— Maniu!.. czy on aby nie miał zamiaru obrazić nas tą... tą kiełbasą!..

— Niech cioteczka będzie spokojna! Dziś wieczór wyjaśni ci to szczegółowo-.. — zapewniła uszczęśliwiona panienka... *K. Rum.*

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Pierwsze i drugie wzbudzają obawę
I wywołują nieraz smutki łzawe.
Trzecia i pierwsza: zwierzę w Ameryce.
Całość: imię żeńskie, zdobiące dziewicę.

Logogryf.

Z sylab: a, a, el, ich, klucz, ko, ko, kra, ku, ków, la, le. lians, łę, me, mur, nau, nie, nik, rze,'ski, seson, sam, sor. rak. o. ra, raz, ry, wind za, za — ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery. czytane z góry na dół, i końaowe — z dołu do gory, utworzą imię i nazwizko znakomitego powieściopisarza polskiego i tytuł jego powieści.

Znaczenie wyrazów:

1. Kaznodzieja polski. 2. Napój alkoholiczny. 3. Małżeństwo, zawarte między osobami różnych pochodzeń. 4. Przezwisko niemieckiego miasteczka w W. K. P. 5. Miasto w Galicyi. 6. Części rośliny. 7. Liczebnik. 8. Rzeka. 9. Odźwierny. 10. Przyrząd do potęgowania wzroku. 11. Zamek królewski. 12. Sławny mocarz. 13. Nazwa kosztowności. 14. Zaimek.

Arytmogryf kryształowy.

Zastąpić liczby literami w ten sposób, aby w 11-tu utworzonych wyrazach litery środkowe, czytane w kierunku pionowym, dały nazwisko powieściopisarza polskiego, czytane zaś w kierunku poziomym — nazwisko jednego z bohaterów jego powieści.

Kombinacye.

10
1 **2** 4
11 14 **9** 4 16
13 1 11 **4** 9 14 16
13 11 17 8 **12** 10 16 18 19
4 8 3 8 3 2 9 6 10 12 2
12 17 21 1 **9** 3 2 9 5
6 11 7 **3** 2 15 11
5 20 **2** 4 16
11 **5** 20
18

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2. Ryba wód słodkich. 3. Miasto starożytne w Europie. 4. Nazwa ciał niebieskich. 5. Napad choroby. 6. Wyraz wzięty za zadanie. 7. Miasto polskie. 8. Imię żeńskie. 9. Państwo w Azyi. 10. Wykrzyknik. 11. Spółgłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

Humoreski Stasiaka.

Rozwiązania z Nru 10.

Rebus: Teraz pieniądz dla wielu stanowi jedyny cel życia.
Szarady: Karnawał — Zakopane
Logogryf: Kazimierz Gliński — Dwie moce — Almanzor.
Arytmogryf: Kazimierz Tetmajer.

Zadanie konikowe.

Miałem ja niegdyś lutnię maleńką...
Marzenia dziecka, czucia młodzieńcze
Drgały w jej strunach cudną piosenką:
Złotej nadziei tkanki pajęcze,
Co zwykły serce młode oplatać.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: M. Walter Szypowce, Wilkosz Wielopole, Marya Cetera Dubiecko, J. Ramoszyńska Borysław, A. Huzarowa Byczkowce, Kasyno Bełz, A. Kwieciński Woźniczna, M. Zoellner Rozwadów, Markl Chorkówka, M. Szwajlik Jarosław, H. Mokszycka Turbia, R. Żabka Biała, M. Rożański Nowy Sącz, E. Nowak Wysoczanka, I. Domain Brzozów, T. Mytych Ostrowy Tuszowskie, J. Kolbusz Żmigród, J. Krajewski Radomyśl n. S., T. Wasiewiczowa Baranów, Medyński Tarnopol, H. Banke Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów, Br. Ramułtowa Jeżów, Remiszewski Załawie, Ks. Majewicz Rzepiennik, G. Hołubowicz Borysław, Stadnik Grabiny, E. Byszewski Kraków, S. Łaszkiewicz Słotwina, E. Nos: Czortków, K. Fuchs Peczeniżyn, Fr. Josefert Kraków, M. Arbesbauer Lwów, J. Haberman Mikulińce, A. S. Bassara Niwiska, St. Mika Nowy Sącz, Jan Badura Rożdzień, W Haldziński Lichwin Śnieżkowa, Rudki.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Stanisław Mark w Chorkówce. Prosimy o nadesłanie 50 h. na koszta przesyłki.

Miejsce wolne.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.